RATUJCIE!
Moja mama pije...
strona 4

GRECJA
mało znana
strona 5

CZWARTEK
Nr 47 88-04-21 Cena 25 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

★ Ma już 20 lat ★ Wyłania młode talenty i udziela pomocy ★ Rozpatruje i ocenia każdy nadesłany projekt ★ Możesz dzięki niemu zdobyć „Młodzieżowy Patent", wyróżnienie, nagrody rzeczowe bądź odznakę BMP!

BIURO MŁODZIEŻOWYCH PATENTÓW CZEKA NA TWÓJ POMYSŁ!

Jeśli chcesz zostać wynalazcą, jeśli interesujesz się techniką i opracowałeś projekt jakiegoś urządzenia lub je konstruowałeś, jeśli chcesz sprawdzić czy Twoje dzieło przedstawia jakąś wartość — napisz do BMP — Warszawa, ul. Konopnickiej 6 (tel. 28-92-81 w. 267). Eksperci Biura ocenią Twój pomysł, projekt lub gotowe dzieło, odpowiedzą na każdy list.

Zachęcamy wszystkich uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych, pasjonujących się techniką i wynalazczością, do pomyślenia, czy nie dałoby się usprawnić czegoś w gospodarstwie domowym. Nasza propozycja dotyczy szczególnie dwóch spraw:

— zabezpieczenia urządzeń domowych przed wybuchem gazu (kuchenki, piecyki, butle itp.),

— zabezpieczenia przed zalaniem wodą mieszkania (centralne ogrzewanie, wodociąg),

Wszystkie nadesłane projekty zostaną wnikliwie ocenione, a autorzy otrzymają odpowiedzi o wartości ich projektów.

Najciekawsze z nich mogą otrzymać „Młodzieżowe Patenty" i „Wyróżnienia"!

Serdecznie zapraszamy do współpracy.

KOŃSKIE ZDROWIE

(PAP). Steven Littlejohn jest znanym w Wielkiej Brytanii weterynarzem. Jego zdaniem, wielu ludziom nie zaszkodziłoby wziąć przykład z koni. Choroby serca i układu krążenia pojawiają się u koni w bardzo późnym wieku. Tajemnica końskiego zdrowia polega na tym, że zwierzęta te nie... palą, nie piją alkoholu, są wegetarianami i przez całe życie uprawiają sport lub ciężko pracują.

Fot. **K. Adamowski**

Wciąż najpopularniejsza

PARYŻ (PAP). Edith Piaf, mimo że od jej śmierci upłynęło już ćwierć wieku, wciąż uważana jest w swej ojczyźnie za najwspanialszą i najpopularniejszą pieśniarkę. Wykazały to badania opinii publicznej przeprowadzone przez telewizję francuską. Jak wynika z tego sondażu, aż 93 proc. Francuzów znana jest postać artystki i jej piosenki, ponad połowa badanych w wieku 18–24 lat uważa, że Piaf wywarła największy wpływ na styl piosenki francuskiej.

Szkoła rozśmieszania

W miasteczku Venus na Florydzie znajduje się jedyna na świecie szkoła klownów. Na kilkutygodniowe kursy przyjmuje się po 50 uczniów. Po otrzymaniu dyplomu są oni przyjmowani do największego w Stanach Zjednoczonych cyrku — RBBBS lub do innych mniejszych cyrków, których jest tam ponad 25.

Kandydaci na klownów uczą się jak zakomponować kostium, jak przylepić sztuczny nos, jak malować twarz przed występem... Ale najważniejsze w pracy klowna jest podobno — zwracać na siebie uwagę. To bardzo trudna umiejętność, która polega na przesadzie i parodiowaniu zwykłych ludzkich zachowań.

„Klowna nie można zagrać, klownem trzeba po prostu być" — twierdzą niektórzy wykładowcy w szkole klownów.

A kim są uczniowie? Przeważnie są to pracownicy cyrków, którzy doskonalą swoje umiejętności. Jest też spora grupa bezrobotnych, którzy mają nadzieję na pracę w cyrku. Czasami spotkać tam można jednak również bogatych biznesmenów, którzy tam po prostu realizują swoje marzenia z dzieciństwa... **(jz)**

LASEREM szybciej i dokładniej

(PAP). Archeolodzy wykorzystujący laser i komputer będą mogli zbierać interesujące ich dane o wiele szybciej i dokładniej aniżeli czynili to do tej pory. Antropolog Harald Dibble z Uniwersytetu Pensylwania z powodzeniem wykorzystał laserowy przyrząd mierniczy do lokalizacji przedmiotów znajdujących się pod ziemią i wykonania ich pomiarów tuż po wydobyciu ich na powierzchnię. Dibble opracował też komputerowy program zbierania i wykorzystywania wszelkich informacji o znaleziskach archeologicznych. Niektórzy sądzą, że wyposażenie archeologii w najnowocześniejsze środki techniczne zrewolucjonizuje tę naukę, a w każdym razie przyczyni się do zwiększenia dokładności jej poszukiwań o 300 do 500 procent i znacznie skróci czas wykonywania niezbędnych pomiarów wykopalisk.

LIST OTWARTY DO KURATORA OŚWIATY I WYCHOWANIA W ŁODZI

Panie Kuratorze! Niedawno, jako finaliści krajowi igrzysk młodzieży szkolnej, gościliśmy w Zgierzu. Na lodowisku klubu Boruta rozgrywaliśmy zawody w „Złotym Krążku", ale mieszkaliśmy w internacie Zespołu Szkół Zawodowych nr 1 w Głownie. I to co zobaczyliśmy w miejscu zakwaterowania, zaszokowało nas wszystkich. Nie sposób bowiem wyobrazić sobie większego zniszczenia, brudu i fetoru.

W zajmowanych pokojach trudno było znaleźć nadającą się do użytku szafkę. Najczęściej miały powyrywane zamki, nierzadko żałośnie zwisały na ostatnich zawiasach lub leżały na podłodze drzwiczki. Te „meble" były na dodatek pokaleczone ostrymi narzędziami. Na wyjątkowo brudnych i odrapanych z farb ścianach internackich sypialń nie znaleźliśmy ani jednego obrazu, półeczki z doniczkowym kwiatkiem itp. Za to większość elektrycznych gniazd była wyrwana, nie funkcjonowały zamki niektórych drzwi. Dewastacja nie ominęła nawet mieszczącej się w korytarzu gabloty „Pamięci narodowej", gdzie zgromadzono kilkanaście fotografii z dawnych lat. Trudno jest nam sporządzić kompletną listę zniszczeń, które zauważyliśmy w internacie Zespołu Szkół Zawodowych nr 1 w Głownie. Wszechwładnego fetoru i brudu opisać też nie jesteśmy w stanie. Nie będziemy również rozwodzić się nad poziomem i estetyką wiszących na korytarzach gazetek, nad jakością tworzących wystawę rysunków mieszkańców internatu. Są one wprost żenujące.

Panie Kuratorze! Jak można było dopuścić do tak ogromnej dewastacji szkolnego obiektu? Przecież musieli widzieć co się w nim dzieje wychowawcy, kierownik internatu, dyrekcja ZSZ...

Planowany jest remont. Czy nowe wnętrze jego mieszkańcy potraktują inaczej, skoro nie poznali dotąd podstawowych norm kulturalnego zachowania? Właściwie nie wiadomo, co bardziej powinno martwić — stan internatu czy poziom jego wychowanków i obojętność wychowawców...

Uczestnicy igrzysk

Z DUŻYCH STACJI I MAŁYCH STACYJEK

Ciekawy zbiór eksponatów obrazujący historię gdańskiego kolejnictwa znajduje się w gmachu dyrekcji Północnej DOKP w Gdańsku. Eksponaty pochodzą z dużych i małych stacji PKP, część z nich jest darem od pracowników kolei i emerytów. Dotychczas zgromadzono ponad tysiąc różnego rodzaju przedmiotów, modeli lokomotyw, starych dokumentów.

Charakter zbioru wskazuje na polskość kolei gdańskich i walkę kolejarzy z germanizacją tych ziem. Uczy szacunku dla tradycji i historii.

Fot. **CAF**

Zabytkowa płyta... gramofonowa

Tak wygląda wyprodukowana w 1890 r. największa na świecie płyta z nagraniem muzycznym. Jej średnica wynosi 85 cm. Wykonano ją wraz z grającą szafą w niemieckiej firmie Gertlera. Obecnie znajduje się w prywatnej kolekcji mechanicznych instrumentów muzycznych należącej do 78-letniego stroiciela instrumentów muzycznych z Arnsgereuth.

Fot. **CAF ADN**

JUBILEUSZOWE PRZECIERANIE SZLAKU

Przedstawię wam solenizanta. W lutym skończył „trzydziestkę" — nie jest już młodzieniaszkiem i, jak na swoje lata, posiada bogate doświadczenia życiowe. Urodził się w Rabce (tej, która słynie z sanatoriów dziecięcych), w pewnym schronisku PTTK. Zapewniam, że jego imienia nie znajdziecie w żadnym kalendarzu, wymyślili je bowiem uczestnicy górskiej wyprawy na Lubań. Brnąc w śnieżnych zaspach **przecierali szlak** na szczyt. Wtedy też **nieprzetarty szlak**, którego przejście wymagało wielkiego wysiłku, skojarzyli sobie z pracą, jaką wkrótce wykonywać mieli na co dzień — z krzewieniem harcerstwa wśród młodzieży i dzieci niepełnosprawnych, skrzywdzonych przez los.

Ot, i opadła mgiełka tajemniczości osnuta wokół solenizanta. Właściwie może nie jest on solenizantem, a solenizantką? Na początku była przecież Ogólnopolska Drużyna Nieprzetartego Szlaku, a więc „osobnik" płci żeńskiej. Składała się owa drużyna z nauczycieli prewentoriów i sanatoriów, którzy podczas zimowiska w Rabce zgłębiali tajniki metodyki harcerskiej. Drużyna wciąż powiększała się i wkrótce istniała już nie jedna, lecz kilkanaście drużyn „NS". Wszystkie one skupiły się w Sztabie Drużyn „Nieprzetartego Szlaku" w Krakowie (było to w marcu 1961 roku). Skoro już o historii mowa, to warto wspomnieć o przodkach „Nieprzetartego Szlaku". Pierwsze wzmianki pochodzą z roku 1923, kiedy to powstała drużyna harcerska przy Krajowym Zakładzie Wychowawczym w Wejherowie.

Jak katowicki „NS" świętuje „okrągłe" urodziny? Uroczyście? hucznie? z pompą? — najwłaściwsze określenie to: pracowicie. Niedawno w Ośrodku Harcerskim w Chorzowie zjawiło się 17 zespołów reprezentujących drużyny, a nawet całe środowiska „Nieprzetartego Szlaku" z terenu województwa, by tam zaprezentować swe wokalno-instrumentalno-aktorskie zdolności.

PRZEGLĄD CZY FESTIWAL

— zdania były do końca podzielone. Informator komendy chorągwi mówił wyraźnie o przeglądzie zespołów artystycznych „NS", a jednak bez jury się nie obeszło. Tyle tylko, że nie zasiedli oceniający przy stole zasłanym zielonym suknem, a pośród widzów. Zresztą kamuflaż ten podziałał jedynie mobilizująco.

„Co tam przegląd — konkurs to co innego, podobno na zwycięzcę czeka puchar" — krążyły wśród wykonawców informacje z dobrych źródeł. Niejedno serce wzlatywało już ku owemu wymarzonemu, wytęsknionemu... A mimo to, szanownemu gremium oceniającemu nie dane było usłyszeć zgryźliwych uwag, zaobserwować zazdrosnych spojrzeń i złośliwych uśmiechów. Były za to gorące brawa. I one chyba przesądziły, że jury przyznało wszystkim zespołom równorzędne wyróżnienia.

Czy takie rozwiązanie wszystkich zadowoliło? Jeśli choć przez chwilę można było mieć wątpliwości — to, co działo się w czasie przerwy, natychmiast je rozwiało. W czasie przerwy bowiem rozpoczęła się najważniejsza część przeglądu, ta całkowicie spontaniczna. Nikt nie miał tremy, nikt nie bał się mikrofonu czy sceny — było za to wspólne pląsanie, śpiewanie, tańczenie i, a jakże, wymiana adresów. Zuch Mariusz podsumował to w ten sposób: *„Gdyby moja drużyna wygrała, to zuchom z Bytomia byłoby przykro, a tak mam wśród nich nowych kolegów"*.

Werdykt jury spotkał się z pełną wyrozumiałością uczestników. Bo rzeczywiście, programy były tak różnorodne, że nie sposób było je porównać: od zuchowych pląsów po układy choreograficzne w takt *„If I were a rich man"* (Gdybym był bogaty), od wiązanki tańców ludowych po montaż poświęcony Januszowi Korczakowi, od Lajkonika po bajkę o Czerwonym Kapturku. Każdy pokazał to, co najbardziej lubił lub w czym był najlepszy. Nieporównywalny był też wiek uczestników; były zuchy, harcerze, harcerze starsi.

Wyjeżdżać z Chorzowa nikt nie chciał. Nie pomogły nawet zapewnienia, że już niebawem spotkają się na zlocie drużyn „NS". Zlot to druga impreza z serii urodzinowych. Organizatorzy nie chcą zdradzić szczegółów: podobno ma być bieg harcerski, wielki festyn, konkursy z nagrodami i wiele atrakcji.

Przeglądy i zloty to imprezy okolicznościowe — potrzebne, ale przecież nie najważniejsze. Najbardziej potrzebna jest codzienna praca, codzienne „przecieranie" szlaku, czyny maleńkie i nie zawsze natychmiast owocujące. Przysłuchując się rozmowom instruktorów związanych z „NS" przyszła mi na myśl pewna refleksja: jeśli ci ludzie borykają się z niewyobrażalnymi dla nas trudnościami, a jednak przecierają swój szlak, to dlaczego my — zastępowi, drużynowi, których droga nie jest wcale taka stroma, tak często rezygnujemy i zawracamy z naszego szlaku w pół drogi...

I na koniec jeszcze dodam, że organizatorami chorzowskiego spotkania radości byli: Kuratorium Oświaty i Wychowania, Wojewódzki Ośrodek Społeczno-Prawny oraz Komenda Chorągwi ZHP w Katowicach.

Kasia Hańska
korespondentka HSI „ŚM"

Przyjaciele
— absolwenci
CSIH

PRZYJEDŹCIE NA MAJOWE SPOTKANIE

Jeżeli ukończyliście kursy w Centralnej Szkole Instruktorów Harcerskich w Załęczu Wielkim, a macie potrzebę spotkania się raz jeszcze — przyjedźcie do nas w dniach 26–29 maja br. na III Zlot Absolwentów. My, pracownicy szkoły, będziemy na Was czekać, ciekawi Waszych instruktorskich sukcesów, gotowi pomóc w razie kłopotów. Przygotowaliśmy dla Was atrakcyjny program, planujemy wspólną pracę i zabawę.

Przyjeżdżajcie! ***„Przy płomieniach w naszym kręgu miejsce zawsze czeka..."***

Zgłoszeniem, a zarazem potwierdzeniem udziału w Zlocie będzie wpłacenie w nieprzekraczalnym terminie do 20 maja br. na nasze konto: NBP O/Wieluń 73121-1166-132 lub przekazem pocztowym kwoty 300 zł.

W razie potrzeby możliwe jest otrzymanie zaproszenia osobistego do okazania w szkole, zakładzie pracy. Kosztów podróży nie zwracamy.

Komenda CSIH

● 17 Drużyna Harcerska im. M. Kopernika z Wodzisławia Śląskiego nawiąże współpracę z drużynami o zainteresowaniach turystycznych. Trzydziestka harcerzy uwielbia rajdy, biwaki, obozy i — jak zapewniają — są zgraną paczką przyjaciół. Piszcie do nich pod adresem: 17 DH, SP nr 26, ul. Strzelców Bytomskich 13, 44-280 Wodzisław Śl.

● 3 Drużyna Harcerska z Krzyża Wielkopolskiego nawiąże kontakt z drużynami noszącymi imię Ludwiki Wawrzyńskiej. Adres: 3DH, SP nr 1, ul. B. Bieruta 31, 64-950 Krzyż Wlkp.

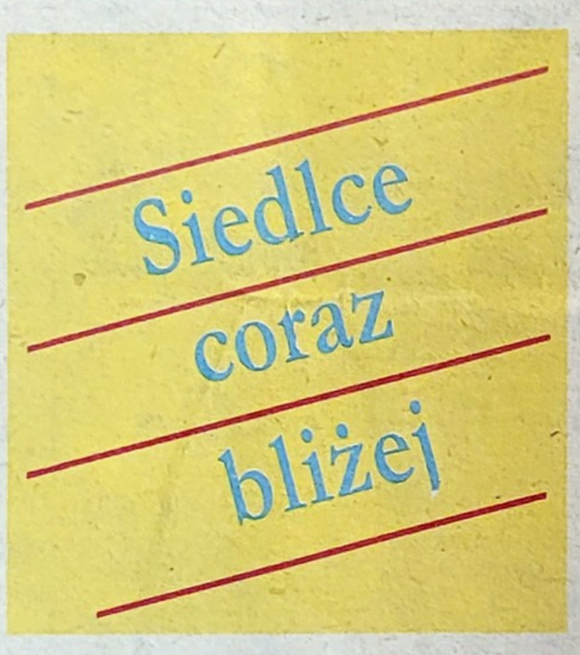

Festiwal Piosenki Harcerskiej Siedlce'88 to wymarzony cel wielu drużyn, zastępów, duetów, solistów. Tych, którzy śpiewają, i tych, którzy sami piszą teksty i komponują piosenki. Żeby wziąć udział w wielkim finale trzeba wcześniej przejść przez gęste sito eliminacji. Trzeba z nadzieją oczekiwać ocen jurorów podczas licznych przeglądów w hufcach, w macierzystych chorągwiach, aż po ostatni etap — rejonowy przegląd piosenki harcerskiej.

Na początku marca w Szczecinie jury oceniało śpiewających przedstawicieli ośmiu chorągwi: bydgoskiej, gdańskiej, koszalińskiej, pilskiej, poznańskiej, słupskiej, zielonogórskiej i szczecińskiej. Konkursowe prezentacje w sali DK „Korab" rozpoczęły cykl podobnych zmagań w pozostałych pięciu rejonach kraju.

Największym zainteresowaniem cieszyły się zespoły z hufca Ustka (chorągiew słupska). Dziewczęta z „Messy" i „Mgiełek" wraz z prowadzącym — druhem Krzysztofem Piechotą wniosły na scenę dużo wdzięku i zachwyciły świetnym przygotowaniem wokalnym i interpretacyjnym. Zespół zuchowy „Muszelki", pracujący pod kierunkiem druhny Urszuli Tamulis, wspaniale ożywił statyczny i przesycony powagą przegląd. Sympatyczne, pląsające maluchy z Ustki potrafiły nie tylko słowami piosenek, ale też drobną inscenizacją, ruchem, zabawą na scenie opowiedzieć nam o życiu uśmiechniętego zucha. Publiczność postanowiła przyznać „Muszelkom" swoją nagrodę — pięknego dużego Smurfa.

Równie spontanicznie i gorąco przyjęci zostali harcerze z Poznania. „Słoneczna pięciolinia" to wspólna nazwa zespołów: harcerskiego i starszoharcerskiego z hufca Poznań Nowe Miasto, założonego przed piętnastu laty i prowadzonego do dziś przez druha Wojciecha Tokłowicza.

Wśród laureatów przeglądu znalazł się również Starszoharcerski Klub Piosenki Różnej z Koszalina, kierowany przez druhny Danutę i Halinę Bańkowskie. Nagrodzony za całość prezentacji, wystąpił z programem złożonym z różnorodnych form: od solistów poprzez duety do śpiewu zespołowego. Interesująca formuła ich występu pozwala przypuszczać, że z Klubem Piosenki Różnej spotkamy się jeszcze wiele razy na harcerskiej estradzie.

Jury postanowiło także wyróżnić dwóch solistów z chorągwi pilskiej: Grzegorza Chraplaka z hufca Chodzież oraz Waldemara Więcka z hufca Piła. Zaproponowali oni interesującą, własną interpretację piosenek nie najnowszych może, znanych już słuchaczom, lecz zaśpiewanych naturalnie i wzruszająco — publiczności się podobały.

Organizatorów — chorągiew szczecińską, reprezentowały dwa zespoły: „Rezon" z hufca Gryfino i zespół „Sześć cztery" 64 ODSH z hufca Szczecin-Śródmieście. Nastrojowy i liryczny repertuar „cudownych dziewczyn" z Gryfina oraz doskonale zaśpiewane przez „64": szanta „Hul-la-ba-lu-by-lej" i porywający całą widownię „Pociąg" mogłyby pięknie zabrzmieć w Siedlcach.

pwd Robert Cieślak

Fot. **Jerzy Gazda**

„Skajki" z Sierakowa (chorągiew poznańska) ze swą maskotką

REDAKCYJNA POCZTA

Czy ta niemożliwa zmiana jest możliwa?

O zmierzchu postanowiłam przewietrzyć się przed jutrzejszym pytaniem z „histry". Myślę sobie: powdycham czystego powietrza, to od razu mi się umysł odświeży. Przestanę dedukować nad tym niemożliwym do rozwiązania zadaniem z fizyki, odpocznę po chemii, zapomnę o porażce na geografii...

Właśnie schodziłam po schodach (mieszkam na IV piętrze, a winda jakoś nie chciała przyjechać) i nagle usłyszałam dziwne odgłosy. Stanęłam zaskoczona. Aha... To chłopcy załatwiają swoje potrzeby na klatce — za daleko do WC. Nie miałam ochoty na spotkanie z nimi. Poczekałam jednak na windę. Chcąc z niej wysiąść, musiałam otworzyć na parterze drzwi i tu poczułam, że padnę — włożyłam rękę w coś niezbyt przyjemnego... A, to pewnie Jarek splunął po papierosach. Na ścianach ukazały się mym oczom napisy typu: „Krycha jest głupia", „Love crove" itp. Chciałam zobaczyć, czy nie nadeszła do mnie jakaś korespondencja. Nie zobaczyłam z prostego powodu — nie było skrzynki.

Wyszłam na powietrze, potykając się przy okazji o monumentalnych rozmiarów śmieć. Co do tego powietrza, to trochę się zawiodłam. Wcale nie było kryształowe, mieszkam przecież w Nowej Hucie. Nagle na głowę spadł mi pomidor. No nie, tego już było za wiele. Biegłam do domu z szybkością światła (300 000 km/s) i... (o Madonno!) wywinęłam kozła na skórce od banana. Rajtki diabli wzięli. A swoją drogą... Kto dziś je te niedosiężne owoce?!

Mniejsza z tym. Wróciłam do domu i wkuwałam krucjaty — od pierwszej aż do siódmej. Potem zrobiłam to trudne zadanie z fizyki i poszłam spać. Śnił mi się kosz pełen śmieci, które zapomniałam wynieść.

„Ogryzka"

Nie robi się przykrości ukochanej osobie

Drogi „Napoleonie"! Właśnie przeczytałam Twój list (nr 3 „ŚM") i najnormalniej w świecie zdenerwowałam się. Z Twej wypowiedzi wynika, że jesteś człowiekiem zupełnie nieodpowiedzialnym. Niby wiesz, że Twojej dziewczynie absolutnie nie podoba się picie, że nie znosi alkoholu, a jednak razem z innymi na jej oczach „przeholowujesz". Gdzie tu sens, gdzie logika?!

Tobie chyba w ogóle nie zależy na Aśce. Człowiek, który darzy kogoś uczuciem, nie robi mu przykrości. Wcale nie można Cię tłumaczyć tym, że to się zdarzyło tylko raz. Skoro raz się upiłeś, to Aśka nie ma żadnych podstaw do tego, by sądzić, iż to się nie powtórzy. Nawet jej się nie dziwię, że nie odzywa się do Ciebie. Już Ci nie ufa.

Moim zdaniem nie masz żadnych szans. U niej jesteś „spalony". Przykre, ale prawdziwe. Może to wydarzenie nauczy Cię czegoś. Mam taką cichą nadzieję...

Michu

KIEDY ROZBUDZONE ZOSTANĄ EMOCJE...

Zabici, ranni, aresztowani, setki, a może nawet tysiące uchodźców... Jeszcze do niedawna trudno było przypuszczać, aby podobne wiadomości docierały do nas ze Związku Radzieckiego. A jednak! A jednak okazało się, że problemy narodowościowe istnieją niezależnie od szerokości geograficznej i panującego ustroju. Przywykliśmy już do informacji o narodowościowych konfliktach wybuchających w nowo kształtujących się pokolonialnych państwach Trzeciego Świata, tam, gdzie wyznaczone na mapie granice dzieliły narody, plemiona, szczepy. A oto prawdziwa puszka Pandory, z kłębiącymi się wewnątrz niej emocjami i namiętnościami wybuchła w dwóch radzieckich republikach — Armenii i Azerbejdżanie.

Jakie jest podłoże konfliktu? Jego zarzewiem stała się Nagorno-Karabachia, autonomiczny obwód w Republice Azerbejdżańskiej zamieszkały głównie przez Ormian. Otóż w lutym tego roku rozpoczęły się w Erewaniu i w Stepanakercie masowe demonstracje, w których domagano się przyłączenia Nagorno-Karabachii do Armenii, republiki sąsiadującej z Azerbejdżanem. Tęsknota do życia w jednej Ojczyźnie — taki był najczęściej powtarzany argument. Nie brakło jednak również głosów wskazujących na nierównoprawne traktowanie ormiańskich mieszkańców Nagorno-Karabachii, utrudnienia w nauce języka ojczystego, przeszkody stawiane na drodze rozwoju kulturalnego itp.

Kiedy rozbudzone zostaną emocje, bardzo trudno jest zapanować nad nimi. Rychło od wieców doszło do strajków, zaczęły się pochody i demonstracje uliczne, a te przerodziły się w akty gwałtu i przemocy. Zginęli ludzie. Stugębna plotka szerzyła wieści o zemście Ormian na Azerbejdżanach i odwrotnie — o mających nastąpić pogromach Ormian. Jak złe duchy wypłynęły z dalekiej przeszłości — jeszcze przedrewolucyjnej — wspomnienia o wrogości tych dwóch narodów, o wzajemnych walkach i bezlitosnym wyniszczaniu się. W efekcie zaczęli płynąć uchodźcy — Ormianie uciekali z Azerbejdżanu, a Azerbejdżanie z Armenii.

Wszystkie te wiadomości budzą smutek. Nie tylko z powodu ludzkich tragedii, jakich znów doświadczyły obie społeczności. Również dlatego, że nie tak trwały jak by się chciało okazał się wizerunek absolutnie bezkonfliktowego współżycia pomiędzy wszystkimi narodami zamieszkującymi ZSRR.

Oczywiście nie nam — obserwatorom z zewnątrz — sądzić, kto w tym konflikcie zawinił najbardziej, po czyjej stronie leżą racje. Zastanawiając się jednak nad genezą wydarzeń, z pewnością sięgnąć trzeba do wczesnych lat dwudziestych, kiedy to proklamowano powstanie Armeńskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej i Azerbejdżańskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Jednym z najpoważniejszych problemów, które stanęły przed młodą radziecką władzą, było ułożenie stosunków narodowościowych. Niestety, były to już wówczas lata, dzisiaj określane jako stalinowskie. Metody wówczas stosowane przy radzeniu sobie z tak delikatną materią, sprowadzały się często do bezdusznego administrowania. Skomplikowane sytuacje rozwiązywano odgórnymi decyzjami. Wszelkie zaś odruchy niezadowolenia tłumiono za pomocą aparatu bezpieczeństwa.

W chwili gdy piszę te słowa, w miastach Nagorno-Karabachii panuje już spokój. Napięcie jednak nie znikło. Pracują komisje śledcze mające wyświetlić bezpośrednie przyczyny i okoliczności zajść. Ich tłem politycznym i gospodarczym zajęły się natomiast najwyższe instancje partyjne i państwowe, tak republikańskie jak i centralne w Moskwie. Uchwalony został program przyśpieszenia rozwoju ekonomicznego Nagorno-Karabachii. Uzgodniono także pociągnięcia, które położyć mają kres kulturalnej dyskryminacji Ormian w Azerbejdżańskiej SRR.

Gwałtowne wydarzenia, o których mowa, to nie tylko ciężkie przejścia dla obu republik. Są one groźne również dla całego Związku Radzieckiego, a zwłaszcza dla prowadzonej obecnie polityki przebudowy. Przeciwnicy „pieriestrojki" wskazują, że jeszcze kilka lat temu takie zajścia nie byłyby możliwe. A teraz...

Oczywiście nie ma w tym ani krzty racji. Jeżeli kogoś boli serce, a nie krzyczy, bo usta ma zaklejone plastrem, to wcale nie znaczy, że wszystko jest w porządku. Gwałtowność ujawnionego w Nagorno-Karabachii konfliktu przynajmniej w części uznać trzeba za skutek wieloletniego ukrywania problemu. Po prostu wrzód dojrzewał zbyt długo. Prawdopodobnie znacznie łagodniej wszystko by przebiegało, gdyby sprawą zajęto się odpowiednio wcześniej.

Większość obserwatorów życzliwych Związkowi Radzieckiemu ma nadzieję, że ekipa przywódcy ZSRR, Michaiła Gorbaczowa, poradzi sobie z tą sprawą. I nie tylko z tą. Kierownictwo ZSRR zapowiedziało dogłębne zajęcie się problemami wielonarodowościowego państwa radzieckiego, narosłymi przez siedem już dziesięcioleci istnienia władzy radzieckiej.

MICHAŁ MALICKI

KIM to imię chłopca
W KIM-a graliśmy już w latach dwudziestych

Druh Stanisław Borowiecki Redaktor Naczelny „Świata Młodych"

KIM — nowa moda na wiosnę na str. 4 „Świata Młodych" (nr 36, 24.III.88) — to propozycja interesującego ćwiczenia pamięci. Otóż w rzeczywistości to nic nowego, bo już w latach dwudziestych tego stulecia graliśmy w drużynie harcerskiej w KIM-a. Zastępowy układał 10, 15, 36, 50 drobnych przedmiotów na stole i przykrywał je. Wołał zastęp z drugiego pokoju, odsłaniał przedmioty np. na 2 minuty, po czym należało je spisać na kartce. Kto najwięcej zapamiętał, ten wygrywał. Warto powiedzieć, że nazwa tej gry pochodzi od imienia chłopca-sieroty żyjącego w Indiach, którego przygody opisał Rudyard Kipling w książce pt. „Kim", bo to jest imię tego chłopca.

Jest jeszcze inna doskonała gra na spostrzegawczość. Drobny przedmiot, np. gumkę do wycierania ołówka, kładziemy tak, że jest widoczna, ale mało odróżnia się od tła. Kto ją pierwszy zauważy?

Umieśćcie to jako informację od starego harcmistrza z tym, że o honorarium nie upominam się.

Czuwaj!

Michał Więckowski
Warszawa

Uratowała go morska trawa...

48-letni rybak indonezyjski Abdullah Sabu, którego łódź rozbiła się podczas sztormu na Morzu Południowo-Chińskim i zatonęła, zdołał utrzymać się 60 dni przy życiu, uczepiony do deski pochodzącej ze strzaskanego kutra. Za główny pokarm podczas przymusowej odysei służyła Indonezyjczykowi trawa morska.

BYĆ SOBIE STEREM

Zwyczajny garaż, z okienkami na poziomie ulicy. Ale samochodu tu nie ma. Jest warsztat... Zwykły warsztat rzemieślniczy. Skrzynki z częściami, śrubkami, drucikami. Pulpity z narzędziami. I kilka większych, bardziej specjalistycznych urządzeń. Cokolwiek niezwykli są natomiast sami tutejsi rzemieślnicy...

To znaczy — takimi mogą nam się wydać w pierwszej chwili. Przywykliśmy wszakże, że prawdziwy rzemieślnik — to ktoś, kto tłucze seryjnie jakieś proste wyroby, jakieś laleczki do samochodów, wanienki, kubełki. Rzemieślnik kojarzy nam się też często ze starym, ciasnym i pełnym klamotów warsztacikiem, z prymitywną technologią. Tu zaś — mamy elektronikę, nowoczesność, innowacje.

To tu narodził się system MEDITERM. Tu wytwarza się na zamówienia szpitali, przychodni, instytutów medycznych kolejne egzemplarze tego urządzenia. I nie tylko tego.

Panowie **Andrzej Zając** — inżynier elektryk i **Sławomir Kowalewski** — inżynier elektronik, właściciele firmy oraz kilku zatrudnionych pracowników — oto cała załoga. Ale tu nie traci się czasu. Każdy z panów inżynierów pełni szereg funkcji naraz. I to jakże różnych, od sprzątania do dyrektorowania. Ta mała firma musi być maksymalnie samowystarczalna — od pomysłu do przemysłu (czyli do wykonania zaprojektowanych urządzeń). Ba, nawet... ciastka dla gości firma piecze we własnym zakresie!

Obaj panowie najpierw pracowali w państwowych instytutach. Znudziło im się. Nie mogli patrzeć na marnotrawstwo, złą organizację, irytowało ich tracenie czasu. A przede wszystkim czuli, że marnują własne możliwości i umiejętności. A i zarobki nie były satysfakcjonujące. Zostawili więc instytutowe posady i utworzyli spółkę. Każdy włożył co posiadał, choć warsztatowi wciąż jeszcze daleko do doskonałości. Np. samo garażowe pomieszczenie jest za małe i za niskie. Sanepid wciąż ich nęka, by się przenieśli do pomieszczenia większego i posiadającego wymaganą przepisami strefę ochronną. Więc wystąpili do rady narodowej o stosowniejszy lokal.

W niełatwych wystartowali czasach. Trudno zdobyć cokolwiek spośród niezbędnych materiałów i części. Na szczęście jest instytucja, która w czym tylko może, pomaga. To Dom Handlowy Nauki (DHN). Pomaga nie tylko materiałowo i organizacyjnie. Także dostarcza niezbędnych informacji — m.in. o tym, co jest na rynku potrzebne.

Pomysł systemu MEDITERM narodził się właśnie we współpracy z DHN-em. W ogóle to obaj wspólnicy powiedzieli sobie: robimy to, czego dotychczas w ramach pracy etatowej robić nie mogliśmy. Od dawna niepokoił ich i drażnił fatalny stan wyposażenia naszych laboratoriów medycznych. Pomyśleli, że to jest dla nich pole do popisu. DHN zachęcił...

Dziś więc realizują jedno zamówienie po drugim. Przy konstrukcji tych urządzeń najwięcej czasu zajmuje testowanie. W sumie — jedno kompletne urządzenie MEDITERM powstaje mniej więcej w 200 godzin. To, ile godzin dziennie pracują — od nich samych zależy. Być sobie sterem, żeglarzem — to ich marzenie, które tutaj się sprawdziło. Ale w praktyce to zwykle trzeba pracować więcej, niż w instytucie. Dzień w warsztacie — wieczór przy projektowaniu. Niby nikt nie zmusza — ale... Bywają chwile napięć, kiedy to przez wiele dni prawie nie opuszcza się pracowni. A zarobki? Obaj panowie twierdzą, że finansowo nie wychodzą jak na razie lepiej, niż na instytutowych pensjach. Żony to nawet sarkają: — prawie cię nie ma w domu, albo siedzisz nad projektami, i co mamy z tego?

A jakże, mogliby wziąć się za interes prostszy, a popłatniejszy. Bez inwestowania w innowację. Albo wykorzystać posiadane umiejętności i pomysły do pracy w firmie zagranicznej. Pan Kowalewski nawet pracował, u Siemensa. Owszem, cenne to doświadczenie. Ale nie mógłby — jak i jego wspólnik — tak ciągle pracować dla obcych.

Chcą zrobić coś tu, u siebie, choć mają świadomość, że pozostajemy za światową czołówką. Ale za to wiedzą, jak potrzebne są nam w kraju nowoczesne, a tanie urządzenia.

Ich firma jest jedną z pierwszych tzw. jednostek innowacyjno-wdrożeniowych, powołanych specjalną ustawą z lipca ub.r. Oznacza to m.in., że są traktowani na równi z jednostkami gospodarki uspołecznionej. Daje to szereg przywilejów — np. łagodzi ograniczenia w zatrudnianiu pracowników. Ale im akurat na powiększaniu załogi nie zależy. Nie nastawiają się nie dużą produkcję ani na długie serie. Ba, projektują i wykonują nawet urządzenia nieseryjne — np. analizator produktów utleniania ropy naftowej, urządzenie kontrolne do badania termometrów lekarskich dla Łódzkiej Fabryki Termometrów, czy specjalistyczny mineralizator dla SGGW-AR. Dla nich liczy się najbardziej, by robić wciąż coś nowego. I dobrej jakości. Firma nie tylko zapewnia odbiorcom pełny serwis, ale gwarantuje raz w roku przegląd i regulację zakupionych urządzeń — niezależnie od tego, jak dawno zostały kupione.

Zatem — dewizą firmy jest: być innowacyjnym, wdrażać swe innowacje i być potrzebnym klientom.

TOMASZ KŁOSOWSKI

Do czego służy MEDITERM?

Wygląda to bardzo zręcznie i prosto. Oto płaska skrzyneczka i połączona z nią kablami przystawka. Takich przystawek — o różnym działaniu — może być zresztą wiele.

Dwuczęściowe urządzenie, o którym tu mowa, nosi nazwę MEDITERM. Jego najważniejsze zadanie polega na utrzymaniu i kontrolowaniu stałej, z góry zaprogramowanej temperatury, jaka jest potrzebna w trakcie wykonywania analiz medycznych. Dotychczas, chcąc je wykonać, laboratorium przychodni, szpitala czy instytutu musiało dysponować całą gamą rozmaitych urządzeń. Popatrzmy zatem jak działa MEDITERM.

Oto jedna z tych przystawek spełnia rolę, jaka w normalnym laboratorium na ogół przypada tzw. łaźni wodnej. W tej łaźni umieszcza się probówki z krwią czy hodowanymi tkankami i w ten sposób utrzymuje niezbędną w wielu badaniach stałą temperaturę — np. temperaturę ciała. Łaźnia — to jednak sposób kłopotliwy i mało dokładny. I oto zamiast niej możemy zastosować MEDITERM z przystawką pn. „Blok termostatowy". Ma on postać płaskiego pudełka, zawierającego nagrzewany blok aluminiowy. W pudełeczku jest szereg otworów, w które wstawia się probówki. Ciepło z bloku do otworów przenika dzięki warstwie przewodzącej pasty. Ot, wszystko. Temperatura jest przy tym kontrolowana i płynnie regulowana z dużą, niemożliwą w normalnej łaźni wodnej do osiągnięcia, dokładnością (ok. 0,1°C).

Druga przystawka — „Termostatująca wirówka" — to prawdziwa ulga dla instytutów, które dotąd w trakcie badań wymagających mieszania w stałej temperaturze używały Bóg wie czego, nawet... mieszadeł do lodów!

Jeszcze inna — to możliwość spalania próbek tkanek w ściśle kontrolowanej temperaturze. Twórcy systemu MEDITERM przewidzieli na razie 17 różnych przystawek. **(tok)**

Fot. **J. Łopuszyński**

Śladem dramatycznych listów

RATUJCIE!

Moja mama pije...

„Musicie mi pomóc, bo coraz częściej ja, piętnastolatka, myślę o..."

Co może oznaczać ten wielokropek, kończący list pełen smutnych słów o matce?!

„Pracuje na trzy zmiany, co czwarty dzień ma wolny. Wtedy umawia się z koleżanką, która przychodząc zawsze ma alkohol. Nie może się to skończyć na jednej butelce, więc idzie do sklepu i kupuje następną, a gdy się skończy, pożycza od sąsiadki. Często trwa to do nocy."

Dziewczyna opisuje ordynarne zachowanie matki, jej krzyki i przekleństwa, swoją rozpacz, bezsilność, strach i łzy.

„Musicie mi pomóc, bo inaczej umrę wśród tych przekleństw. Dla mnie słowo dom oznacza piekło."

A dla nas ten list oznacza jedno: trzeba jechać na pomoc.

Kiedy bilety na pociąg mam już w kieszeni, przychodzi drugi list, z tego samego rejonu Polski.

„Nasz kłopot polega na tym, że nie mamy normalnego domu. Ojciec opuścił nas przed trzema laty przez naszą mamę, którą pociąga alkohol. Sąd przyznał dalsze wychowanie nas mamie, która przysięgła, że już nie będzie piła. Przez miesiąc było nam nawet ze sobą fajnie, ale potem znów mama przychodziła coraz częściej z pracy pijana. Zdarzały się też noce, kiedy w ogóle nie było jej w domu. Często przychodziłyśmy do szkoły nieprzygotowane. Nauczyciele nie mogli zrozumieć, że nasze złe stopnie wynikają z trudnej sytuacji domowej. W szkole nikt nas nie akceptuje. Jesteśmy same. Prosiłyśmy mamę, żeby nas zrozumiała i przestała. Ona płakała, prosiła o przebaczenie i przysięgała, że już nie weźmie alkoholu do ust. Lecz ciągle jest to samo.

Wyprawa pierwsza

Jadę rannym ekspresem do wielkiego miasta, w którym mam zamówiony hotel. To będzie baza wypadowa do miasteczek X i Y, w których mieszkają „moje" dziewczyny. Z bagażem do hotelu i znów z powrotem biegiem na dworzec, żeby zdążyć na pociąg do X. Pociąg odwołują: roboty na torach. Następny też odwołany.

Zaczynam się denerwować. Teraz już na pewno nie zdążę złapać Aśki w szkole. Nie podała jej numeru i adresu, a właśnie od szkoły chciałam zacząć. Bo gdybym od razu zameldowała się u niej w domu, może trafiłabym akurat na pijaną matkę po zmianie. I co wtedy? Mogłabym dziewczynie bardziej zaszkodzić niż pomóc. No więc najpierw chciałam pogadać z Aśką na neutralnym terenie.

Nareszcie jest pociąg. Tłok jak diabli! Na miejscu okazuje się, że czeka mnie kilka kilometrów marszu do osiedla Aśki. Są w nim aż trzy szkoły podstawowe. Na właściwą trafiam dopiero za drugim podejściem.

Na szczęście zastałam panią dyrektor. Wygląda na sympatyczną. Muszę jej zaufać. W rozmowie sam na sam mówię, że pragnę się spotkać z uczennicą, która ma problemy w domu. Nie wyjaśniam jakie. Posyłają po Aśkę.

To nie ja!

Dziewczyna robi na mój widok głupią minę. Skądże, w ogóle nie pisała do żadnej redakcji. Prosi o pokazanie listu. W pierwszej chwili odmawiam, tak jak zawsze. To jest tajemnica moja i tego, kto pisał. Po zastanowieniu się — przecież rozmawiam z rzekomą autorką! — daję list. Czyta. Wszystkie dane rzeczywiście się zgadzają, z tym tylko, że jej matka nie pije, a w rodzinie panuje nie tylko dostatek, ale i miłość.

No to spadł mi kamień z serca. Ale... coś mi tu jednak nie pasuje — ona jest zaskakująco spokojna, ani zdziwiona, ani oburzona. I te jej dziwne oczy, dziwny uśmiech. Elegancko ubrana, pięknie uczesana, wyraźnie nie ma dla mnie czasu, bo bardzo się spieszy na uroczystość kościelną, w której odgrywa ważną rolę. No, skoro idzie stąd prosto do kościoła, nie będzie mi chyba kłamać w żywe oczy?

— To nie ja — uśmiecha się. — Ale obiecuję pani, że kiedy tylko znajdę sprawcę tego głupiego kawału, zaraz napiszę. A znajdę go na pewno!

Wychodzi. Nie mogłam jej przecież zatrzymać siłą. Zresztą po co?

Ponieważ nie przyznała się do autorstwa listu i do kłopotów, czuję się zwolniona ze ścisłej tajemnicy i przedstawiam sprawę pani dyrektor. I jej udziela się stan niepokoju. Przynosi zeszyt Aśki z wypracowaniami. Żadni z nas grafolodzy, a jednak nie mamy cienia wątpliwości, list pisała Aśka!

Co robić? Proszę panią dyrektor, by skoro nie ma tu ani pedagoga szkolnego, ani psychologa, sama obserwowała uważnie dziewczynę, spróbowała za jakiś czas dyplomatycznie przeprowadzić z nią rozmowę, zorientowała się dokładnie w jej sytuacji domowej.

Żegnam się, nie pozbawiona obaw co do losu dziewczyny, i niestety bez czystego sumienia. Tylko czy to, do diabła, moja wina?!

Jutro z samego rana wyruszę do Y. Tam na pewno czekają.

Wyprawa druga

Stareńki, rozklekotany autobus PKS-u wiezie mnie do Y na spotkanie z bliźniaczkami, które nie mają normalnego domu. Przede mną jeszcze co najmniej godzina jazdy, a więc sporo czasu na ułożenie „strategii" postępowania. Matki pewnie nie będzie jeszcze w domu. Porozmawiam z dziewczynami, potem poczekam na nią, spróbuję pogadać po ludzku, a może i trochę ją... postraszyć.

Dobrze, że pofatygowałam się wcześniej do Sądu Rodzinnego i Nieletnich. Teraz wiem, że na wniosek szkoły bądź mój sąd rejonowy może wszcząć postępowanie, które w rezultacie doprowadzi, na przykład, do przyznania dziecku kuratora, mającego mu pomagać w problemach z rodzicami. Można też spowodować przebadanie uzależnionego od alkoholu ojca lub matki przez Rodzinny Ośrodek Diagnostyczny i wymożenie na nich obietnicy leczenia się. Ale w tym przypadku to wszystko wcale nie musi być konieczne: może matce po prostu zrobi się porządnie głupio, bo wstrząśnie nią ta moja wizyta? Może uświadomi sobie, jak bardzo unieszczęśliwia córki, skoro zdecydowały się aż na tak rozpaczliwy krok?

Straszna pogoda. Takiej zadymki, takiego deszczu ze śniegiem dawno nie było.

Nie ma takiego numeru

Ależ to osiedle monstrum! Dobrze, że znalazłam „swoją" ulicę. Nieważne, że lezę nią pod górę już dobrych parę minut, a domu z podanego adresu ciągle nie widać. No, nareszcie. Ale na liście lokatorów w ogóle nie ma takiego nazwiska! Ba, nie ma nawet takiego numeru mieszkania. Obchodzę dziesięć kolejnych klatek schodowych i dalej nic. Nikt nie słyszał o bliźniaczkach na tym osiedlu. Do dozorcy nie pójdę, bo może zrobić z moich pytań sensację. Idę do pobliskiej szkoły.

Pani sekretarka nie zna takiego nazwiska. Dzwoni do szkół w okolicy. Niewypał. Dostaję gęsiej skórki: znów oszustwo.

Pani dyrektor, przejęta sytuacją swoich ewentualnych uczennic, rozważa głośno wszystkie możliwości. Zwołuje nawet na krótką naradę wychowawców, by dowiedzieć się, czy przypadkiem nie mają w klasach kogoś, czyje warunki przypominałyby opisane w liście. Kilkoro wychowawców przychodzi na rozmowę ze mną w cztery oczy. Opowiadają o problemach swoich uczniów. Dowiaduję się, jak wiele tragedii rodzinnych wywołanych pijaństwem rodziców może wydarzyć się na jednym tylko polskim osiedlu. Żadna z tych spraw nie jest jednak sprawą dwu dziewczyn, które napisały do redakcji.

A może nie całkiem na próżno tu przyjechałam, może mityczne bliźniaczki sprawią, że pomoc uzyska kilku ich nieznanych rówieśników?

Stareńki, rozklekotany autobus PKS-u wlecze się z powrotem w strugach deszczu. Przemoczona do suchej nitki powinnam być szczęśliwa, że w ogóle udało mi się doń wepchnąć. A jestem wściekła. Coraz bardziej! Po co im te

zabawy w „chowanego"

ten cały idiotyczny cyrk?! Trudno uwierzyć, żeby pisali o swoich wyimaginowanych kłopotach zupełnie bezmyślnie, ot tak, dla kawału tylko. Z braku innych zajęć. Z nudy. Z głupoty.

Może chcą nas sprawdzić: przyjedziemy na wezwanie czy wyrzucimy list do kosza? A może, tak jak Aśka, rejterują w ostatniej chwili? Co innego napisać list, a co innego zobaczyć nagle przed sobą kogoś obcego, kto tyle o nas wie. Pewnie popyta, pogada, wcale nie wiadomo, czy pomoże, ale rozrobi całą sprawę i odjedzie, a człowiek zostanie na miejscu i... dopiero się tu na nim odegrają! Zupełnie jakbyśmy byli z innego świata i nie brali pod uwagę podobnej możliwości.

Gdzie zaufanie do nas? Gdzie konsekwencja?! Umiało się powiedzieć „a", ale kiedy dochodzi do „b", chowa się głowę w piasek.

Mniejsza już z tym, że człowiek tłucze się jak idiota taki kawał świata zupełnie niepotrzebnie. Nie pomyśli nawet taka jedna z drugą, że ściągając kogoś z nas do siebie fałszywym alarmem, tym samym pozbawia szans natychmiastowej pomocy tych, którzy jej naprawdę potrzebują. Gdzie poczucie odpowiedzialności, którego tak wymagacie od innych? A więc jednak głupota!

Niech piszą, kiedy jest im źle. Niech piszą, kiedy jest im dobrze. Ale niech nie kłamią!

No już dobra, spokój. Po prostu na przyszłość nie będzie się gnać na oślep na najbardziej nawet dramatyczne wezwanie, nie upewniwszy się przedtem, choćby listownie, że osoba wzywająca rzeczywiście istnieje, ma konkretny adres, rzeczywiście chce nas widzieć i będzie nas oczekiwała. A że może przyjedzie się wtedy trochę za późno...?

EWA KOSIŃSKA

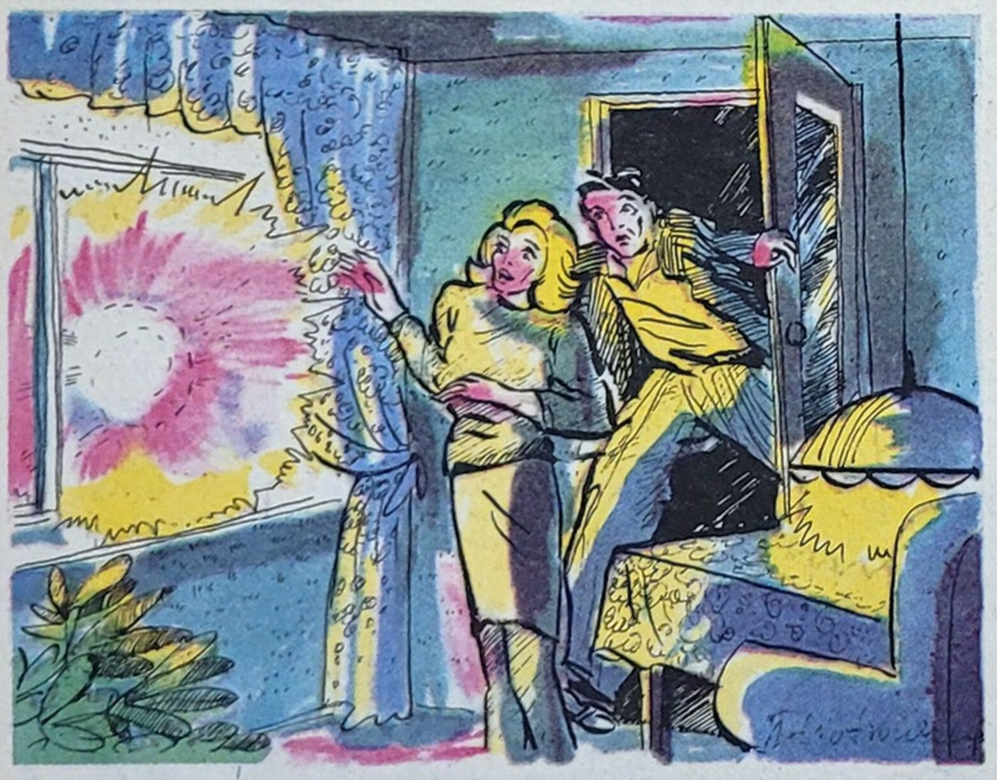

Piorun kulisty jest przedmiotem badań naukowców, którzy od wielu lat starają się wyjaśnić jego pochodzenie.

Istnieje na ten temat wiele hipotez. Autorem jednej z ostatnich jest naukowiec z Leningradu dr nauk technicznych Anatol Miesieniaszyn.

„Rozszalała się gwałtowna burza. Prawie jednocześnie z wyładowaniem, z gniazdka elektrycznego zaczęła wydobywać się pomarańczowa świecąca kula. Jej kształt zmieniał się przez cały czas. Gdy kula osiągnęła rozmiary piłki futbolowej, oderwała się od gniazda i popłynęła po pokoju. Dotarłszy do okna kula, nie zatrzymując się i nie zmieniając kształtu, przeniknęła przez szybę. Na dworze, odleciawszy kilka metrów od okna, kula rozerwała się z hukiem".

Jest to jedna z wielu relacji świadków, którzy spotkali się z tym naturalnym zagadkowym fenomenem — piorunem kulistym. Nie są jasne przyczyny jego powstania i zachowania się. Nieprzypadkowo na Światowym Kongresie Elektrotechniki piorun kulisty uznano za zagadkę naszego stulecia. Odnotowano wiele przypadków zaobserwowania tego fenomenu. Opracowując statystykę doniesień na ten temat, badacze wyciągnęli wniosek, że średnio z piorunem kulistym spotyka się co pięćdziesiąty mieszkaniec naszej planety. Najczęściej piorun kulisty obserwują lotnicy. Czasami kontakt samolotu ze świecącą kulą kończy się tragicznie.

Jak więc wygląda ten nieuchwytny kondensat energii? Okazuje się, że bywa kształtu kulistego, eliptycznego, może przypominać gruszkę albo wrzeciono, najczęściej jest żółto-czerwony, rzadziej — biało-niebieski albo fioletowy. Istnieje od kilku sekund do kilku minut. Nigdy nie wiadomo, jak się zachowa — może „wskoczyć" do przewodu kominowego, przecisnąć się przez szczelinę, okrążyć kałużę po obwodzie.

Trudności związane z badaniem pioruna kulistego polegają na tym, że raczej nie trafia on do rąk eksperymentatorów. Mimo to, a może właśnie dlatego, przyciąga stale uwagę badaczy. Dotychczas wysunięto ponad 100 hipotez, próbujących wyjaśnić naturę fizyczną tego zjawiska. Niektórzy starają się wytłumaczyć je różnymi reakcjami chemicznymi i jądrowymi, czasem przywołując na pomoc teorię antymaterii. Większość specjalistów przychyla się do koncepcji traktującej piorun kulisty jako skoncentrowaną plazmę. Jednak wszyscy przyznają, że hipotezy te nie objaśniają wszystkich zaobserwowanych zjawisk.

Powiadają, że na myśliwego zwierzyna sama leci. Przydarzyło się to pracownikowi Wszechzwiązkowego Instytutu Naukowo-Badawczego Anatolowi Miesieniaszynowi z Leningradu. Pewnego razu, podczas burzy, w oknie jego mieszkania pojawiła się niewielka świecąca kula. Usłyszał trzask. Na pamiątkę wizyty niebezpieczny gość pozostawił w szybie niewielki lejkowaty otwór.

Po kilku latach badań teoretycznych Anatol Miesieniaszyn przedłożył pseudoelektrostatyczny model pioruna kulistego. Pomysł zadziwia swoją prostotą (być może, pozorną). Wyjaśnienie zagadkowego zjawiska leży w granicach klasycznej teorii elektryczności.

— Wygłosiłem referat na zebraniu naukowców, interesujących się tym problemem — mówi autor teorii. *— Tego dnia nie odpowiedziałem tylko na jedno z zadanych mi pytań. Ale potem i na nie znalazłem odpowiedź. Na podstawie zaproponowanej przeze mnie teorii można wyjaśnić długotrwałe utrzymywanie się pioruna kulistego, jego spokojne wygasanie, albo odwrotnie, wybuch, mechanizm świecenia, zdolność do zawisania nad przedmiotami, przechodzenia przez szczeliny, możliwość istnienia w pomieszczeniu ekranowanym i odpychania przez przedmioty będące dobrymi przewodnikami."*

Zdaniem Miesieniaszyna, piorun kulisty powstaje ze zwykłej kropli wody wtedy, gdy przechodzi przez nią prąd o dużym natężeniu. Kropla jest zwykłym pęcherzykiem wody o cienkich ściankach, charakteryzującym się dużym przewodnictwem elektrycznym. Na jego ściankach nierównomiernie koncentrują się ładunki elektryczne, pochodzące od pioruna liniowego. Rozmieszczenie tych ładunków sprawia, że warstwa wody staje się „szkieletem" pioruna na kilka sekund, a nawet minut.

Z tego wynika, że niezbędnym warunkiem powstania pioruna kulistego jest pole elektryczne, stale istniejące w atmosferze, oraz liniowe wyładowanie elektryczne podczas burzy. Zwiększenie rozmiarów kropli wody, zdaniem autora hipotezy, spowodowane jest tym, że przepływ ładunków wewnątrz pęcherzyka wody „nadmuchuje" go od wewnątrz. Ciekawe, że duża objętość pioruna kulistego wydłuża czas jego trwania...

Koncepcja leningradzkiego naukowca zostanie sprawdzona w instytucie, w warunkach laboratoryjnych. Na pytanie, skąd wezmą obiekty badań, Anatol Miesieniaszyn odpowiedział, że spróbuje uzyskać pioruny kuliste eksperymentalnie.

HELENA DRUŻYNINA

APN specjalnie dla „Świata Młodych"

TAJEMNICA PIORUNA KULISTEGO ROZWIĄZANA?

GRECJA
mało znana

Pewnego zimowego wieczoru Basia, Magda i Marek postanowili, że „czas ruszyć się, by przeżyć coś na szlaku". Chodzili, pisali, załatwiali, ciułali pieniądze, aż wreszcie po kilku miesiącach w upalny wrześniowy wieczór wysiedli z pociągu na dworcu w Salonikach.

Zmęczeni ponad trzydobową podróżą, mając za sobą ponad dwa tysiące kilometrów i cztery granice, znaleźliśmy się o dziesiątej wieczorem w wielkim, obcym mieście — Salonikach (po grecku Thessaloniki).

Pierwsze zaskoczenie spotkało nas już w hali dworca. Dworcowy kiosk ze wszystkich stron był otoczony półkami, na których leżały różne atrakcyjne towary. Ale nie to bogactwo nas zaskoczyło: otóż większość rzeczy znajdowała się poza zasięgiem wzroku sprzedawcy, a nikt nie ulegał pokusie, żeby sobie coś zabrać — nie płacąc. Później przyzwyczailiśmy się, że w Grecji po prostu nie kradnie się. Wchodząc na przykład do muzeum, mogliśmy spokojnie zostawić plecaki na ulicy wiedząc, że na pewno „nie dostaną nóg".

Było późno, więc pomyśleliśmy, że nie ma sensu nigdzie się z dworca ruszać. Zresztą mnóstwo młodych ludzi właśnie rozkładało sobie spanie pod ścianami budynku dworcowego i w przejściu pod peronami. Niebawem i my znaleźliśmy sobie kącik, a nawet zaczęliśmy gotować herbatę. Towarzystwo międzynarodowych globtroterów albo było bardzo zmęczone, albo bardzo tolerancyjne i nikt nie miał do nas pretensji, że rozpalając kocher zasmrodziliśmy pół dworca. O piątej rano kolejarz zrobił nam pobudkę gwizdkiem, a najbardziej wytrwałych w spaniu dobudzał wielki Murzyn za pomocą jeszcze większego bębna.

Komunikacja w miastach greckich do godziny ósmej rano jest bezpłatna, więc pierwszą wycieczkę mieliśmy za darmo. Pojechaliśmy autobusem na przedmieście. Patrząc na wystawy sklepowe, a ściślej mówiąc na ceny, szybko policzyliśmy, że te kilkadziesiąt dolarów, które każde z nas miało, na długo nam nie wystarczy. Postanowiliśmy podróżować po Helladzie metodą znaną wśród młodzieży spędzającej wakacje za granicą: łapać dorywczą pracę, zarobić kilka drachm i jechać dalej. Był właśnie koniec sierpnia i panowały wielkie upały, szczęścia więc postanowiliśmy szukać na północy, gdzie było trochę chłodniej (tzn. około 35°C). Już tego samego dnia wieczorem byliśmy o 100 km od Salonik, w małej wioseczce u podnóża gór Dynarskich.

Pierwsze spotkanie z Grecją prowincjonalną i kolejne zaskoczenie. Wieś mająca niespełna tysiąc mieszkańców ma swoją własną szkołę, cerkiew, ośrodek zdrowia, sześć sklepów spożywczych, dwa przemysłowe, restaurację, cztery kawiarnie, cukiernię, trzy stacje benzynowe i dyskotekę. Przypomina raczej małe miasteczko. Uliczki wyasfaltowane, chodniki równo ułożone, przy domach czyste, zadbane ogródki, a czasami można zauważyć nawet małą fontannę. O świcie wyruszyliśmy do pracy przy zbiorze brzoskwiń. Po pierwszym zjedzonym kilogramie spoglądaliśmy już na nie z większą obojętnością. Około południa gospodarze przynieśli do sadu

... Wyruszyliśmy do pracy przy zbiorze brzoskwiń. Po pierwszym zjedzonym kilogramie spoglądaliśmy już na nie z większą obojętnością...

obiad: duszone baranie mięso z papryką i oliwkami, a na deser bardzo słony kozi ser. Do „popicia" każdy otrzymał spory kawałek arbuza. Pracę skończyliśmy około drugiej po południu. O tej godzinie życie w tym kraju zamiera. Rozpoczyna się sjesta, która trwa aż do piątej, szóstej wieczorem, bo dopiero wtedy robi się chłodniej. Uliczki zaludniają się. Największą popularnością cieszą się małe kawiarenki, zwane tu kafeteriami. Wszyscy odwiedzający je są zawsze czysto i schludnie ubrani. Mimo że alkohol jest tu dosyć tani i łatwo dostępny, w tej wiosce i w całej naszej podróży spotkaliśmy tylko jednego nietrzeźwego i, jak się później okazało, był to niestety nasz rodak.

W niedzielę wybraliśmy się autostopem nad piękne górskie jezioro Wegorítida leżące niedaleko granicy jugosłowiańskiej, koło miasteczka Árnisa. Czuliśmy się trochę jak nad Morskim Okiem, tyle że woda była bardzo ciepła i góry trochę dalej. W pewnym momencie poruszone dno zamigotało tysiącami kolorowych iskierek. To bajkowe zjawisko wzięło się stąd, że piasek na dnie i na plaży zawiera bardzo dużo płytek miki, w których załamują się i odbijają promienie słońca.

W drodze powrotnej dotarliśmy do prześlicznego miasteczka Edessa, położonego na krawędzi skarpy, poprzecinanej olbrzymimi wodospadami. Największy z nich, zwany Wielką Kataraktą, oglądaliśmy również jakby „od tyłu", gdyż można wejść do jaskini wyżłobionej pod wodospadem i spojrzeć na świat przez wodną kurtynę.

Po kilku dniach skakania po gałęziach, zrywania rumianych brzoskwiń, noszenia skrzynek i wiader poczuliśmy, że jeżeli zaraz nie wyruszymy na szlak, to „szlag nas trafi". Jak postanowiliśmy, tak zrobiliśmy. Zwinęliśmy nasze „gospodarstwo", pożegnaliśmy przyjaciół i stanęliśmy na skraju szosy. Rozpoczął się nasz wielki autostop. Migawki z tej podróży będziecie mogli zobaczyć już w następnym numerze.

MAREK KIELANOWSKI

Fot. **autora**

„Gdy się ktoś zaczyta, zawsze albo się czegoś nauczy, albo zapomni o tym, co mu dolega, albo zaśnie — w każdym razie wygra."

Henryk Sienkiewicz

ZŁOTO Z PRZECENY

Pojawiły się w księgarniach obficie zaopatrzone stoiska, ba, całe działy z książkami przecenionymi. „Bonifikata 50%" — zachęcają wywieszki. Czy rzeczywiście zachęcają? Niestety, raczej nie. Przez lata nienormalnej sytuacji w handlu książką utrwaliło się w podświadomości czytelników przekonanie, że książka, która leży na ladzie, którą można kupić normalnie, to nie jest książka, którą kupić warto. A co dopiero książka przeceniona — to sam chłam. No i niesłusznie sądzi, kto tak sądzi. Mam kilka dowodów, ale jeden szczególnie wymowny.

Otóż właśnie wśród książek z przeceny znalazłam jedną, która mnie wyjątkowo poruszyła i śpieszę Wam o tym donieść, abyście i Wy sięgnęli po nią jak najszybciej. Wcale bowiem nieczęsto się zdarza mieć do czynienia z opowieścią, którą można przeczytać z rosnącym zainteresowaniem i zapartym tchem i w dodatku mocno i głęboko ją przeżyć. Jak również rzadko można się spotkać z losami tak niezwykłymi, z osobowością równie silną i z nieszczęściem do tego stopnia porażającym.

Autor i zarazem bohater tych wspomnień jest kaleką podwójnym. Stracił wzrok i obie ręce. Nie może się sam myć, ubierać, jeść. Nie może też czytać systemem brajla — palcami, więc nauczył się czytać... wargami. A nauczywszy się czytać — poszedł w wieku 30 lat do liceum wieczorowego i zdał maturę (tu pomyślcie przez chwilę o jego kłopocie z wyobrażeniem sobie np. mapy albo figur geometrycznych...) Po maturze dostał się na studia polonistyczne. Ukończył je. Chciał pracować jako nauczyciel w szkole. Nie pozwolono mu, więc — zrobił doktorat.

Czy możecie sobie to wszystko wyobrazić, wczuć się w niesłychany hart ducha tego człowieka, zliczyć i wymierzyć przeszkody, które pokonał, aby cel osiągnąć i nie zrezygnować? Jeśli ktoś pochodzi z małej wioski, a skończy studia, to już mówi się, że to sukces, prawda? To jak nazwać przypadek tego „zwykłego wiejskiego chłopaka", z którym los obszedł się straszliwie?

Podziw i wzruszenie cały czas towarzyszą tej lekturze. I pokrzepienie serca. I jeszcze czasem nieładne uczucie — zazdrości. Bo Michał Kaziów jest niewątpliwie człowiekiem wielkiego formatu, ale to, że mu się udało, że zniósł to, co zniósł i jeszcze zdobył się na optymizm, na radość życia, na życzliwość dla innych, to wszystko jest zasługą jego domu rodzinnego — matki, ojca, siostry. To dom, namalowany przez niego tak ciepło, pełen prawdziwej, mądrej miłości, oddania, wrażliwości i poświęcenia bez roztkliwiania się, dom wspaniały, sprawdzony w najgorszym — dał mu tę imponującą siłę.

I jest jeszcze ktoś, bez kogo nie byłoby tak zawrotnego sukcesu: pani Halina Lubicz, aktorka, żarliwa społeczniczka, niestrudzona opiekunka niewidomych, która mobilizowała autora do wysiłków, nieustannie służąc mu pomocą, własnym czasem, mieszkaniem, angażując w tę pomoc również swoją rodzinę, której stał się nowym domownikiem. To ona „*naprawiła jego los*".

Warto o tym poczytać także i dlatego, by dowiedzieć się przy okazji jak można pomóc, a jak

Koślawe literki, kleksy, brudny brąz tła... A przecież nie jest to książka o kalectwie i bezradności, wręcz przeciwnie!

„pomagać" nie należy. Wiele jest w tej książce prawdy o ludzkiej niedelikatności, biorącej się z braku wyobraźni, wiele jest gorzkich refleksji o przekreślaniu ludzi kalekich, o odmawianiu im prawa do... odczuwania wyższych potrzeb, jak piękno, miłość, radość. Są poruszające sceny, w których autor chłodno i spokojnie opisuje histeryczne reakcje ludzi teoretycznie współczujących, ale nie przygotowanych na spotkanie z kimś, kto „*nie może spojrzeć w oczy ani podać ręki*." Jest mowa o litości, która tylko upokarza — i o poświęceniu; o bezduszności urzędów — i o dyskretnym zrozumieniu. Jest o trudnym, mozolnym wychodzeniu z myślenia tylko o sobie samym (tak!) i o upartym szukaniu własnego, nieulgowego miejsca wśród ludzi.

Książka napisana jest prosto, szczerze i zwyczajnie. Autor umie nam przybliżyć swoje odczucia. Razem z nim przeżywamy te chwile, kiedy — nagle okaleczony — musi na nowo uczyć się świata, kiedy doznaje lęku przed ciszą, bo ona oznacza nieznane, kiedy widzi światło z zamkniętymi oczami, a przestaje widzieć — z otwartymi, kiedy precyzyjnie odróżnia zapachy różnych lasów. I jeszcze wtedy, kiedy tęskni za pięknem, które zostało mu odebrane, ale wróciło dzięki literaturze.

Poczytajcie sobie, zwłaszcza wy, co łatwo się załamujecie. Gwarantuję, że nikt nie zaśnie, wielu zapomni o tym co im dolega, a każdy się czegoś nauczy.

A teraz pytanie: dlaczego ta książka nie znalazła nabywców, trafiła między przecenione cegły? Wiem. I powiem. Winna temu jest odstręczająca okładka, chciałoby się powiedzieć kaleka, naprawdę wyjątkowo brzydka. Koślawe literki, kleksy, brudny brąz tła. Taki był zapewne zamiar projektanta — w sposób graficzny, skrótowy przedstawić ociemniałość. I ten zamiar daje się od razu odczytać, ale trudno mu przyklasnąć. Tym pomysłem zrobiono krzywdę autorowi. Bo przecież nie jest to książka o brzydocie, koślawości ani bezradności, tylko o budującym optymizmie, silnej woli, rozumie, pragnieniu wiedzy i szlachetnym dążeniu do doskonałości wewnętrznej. O tym, czego wprawdzie nie widać, ale co jest ważniejsze od kalectwa. „*Dobrze byłoby, żeby każdy chciał nas też i słyszeć, a nie tylko na nas patrzeć*" — napisał Michał Kaziów, dobrze wiedząc, że słyszeć jest dużo, dużo trudniej.

GRAŻYNA SZROEDER

Michał Kaziów „Gdy moim oczom", Czytelnik, Warszawa 1985, wyd. I, nakład 50 000 egz., cena 150 zł (z bonifikatą 75 zł)

Nie mogąc czytać pisma brajlowskiego palcami — nauczył się czytać w ten sposób. W literaturze odnalazł piękno, które zostało mu zabrane. (Fotografia Tomasza Gawałkiewicza pt. „Głód wiedzy" z albumu „Samo życie")

Zaprzęgnięto wiatr do pracy...

(PAP). Dwa miliony kilowatogodzin rocznie ma wytwarzać uruchomiona niedawno w Szlezwiku–Holsztynie największa w RFN centrala energetyczna wykorzystująca do pracy siłę wiatru. Całość składa się z 30 niewielkich nowoczesnych obiektów i kosztowała 5 mln marek. Kilowat energii elektrycznej z tej elektrowni kosztować będzie użytkowników 15–25 fenigów (korzystając z normalnej sieci płaci się średnio dwa razy drożej) i co najważniejsze, nawet w minimalnym stopniu nie zatruwa naturalnego środowiska. Zastosowane w Szlezwiku–Holsztynie konstrukcje są na razie sprawdzane. Prowadzone są również prace nad ich udoskonaleniem aby osiągnąć jeszcze lepsze parametry.

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

ALFA ROMEO 164

Alfa Romeo będąca do niedawna firmą państwową we Włoszech, została wchłonięta przez koncern Fiata. Bezpośrednią przyczyną tego faktu były jej trudności finansowe. Dzięki kapitałom Fiata, Alfa Romeo — chociaż nadzorowana jest przez ten potężny koncern — może nadal produkować samochody i to z marką swojej firmy, a pierwszym pojazdem powstałym w tych nowych warunkach organizacyjnych jest właśnie ALFA ROMEO 164.

Pojazd ten posiada zunifikowane podwozie zaprojektowane wspólnie jeszcze dla następujących modeli samochodów: FIATA CROMY, LANCI THEMA I SAABA 9000. ALFA ROMEO 164 jest ostatnim z samochodów, który w to podwozie został wyposażony.

Zasadą wspólnego projektowania było założenie, że nowe modele samochodów mają mieć wspólne i jednakowe dla wszystkich odmian wymiary podstawowe, a więc rozstawy osi i rozstawy kół. Jednakowe także miały być, przynajmniej jeżeli chodzi o typ, zawieszenia kół. We wszystkich przypadkach silniki postanowiono umieszczać poprzecznie z przodu, niezależnie od liczby cylindrów. Taka sama miała też być płyta podłogowa. Kształtowanie nadwozi pozostawiono indywidualnym stylistom.

Celem takiego działania było obniżenie kosztów związanych z projektowaniem i przygotowywaniem do produkcji samochodów średniej klasy. Gdyby prace te były prowadzone przez każdą z firm oddzielnie pochłonęłoby to olbrzymie nakłady kapitałowe.

W związku z takimi założeniami nowa ALFA ROMEO 164 stanowi odwrót od koncepcji konstrukcyjnej tej firmy, który polegał na wytwarzaniu samochodów z napędem na tylne koła. Przyjęcie wspólnego projektu spowodowało w tym nowym samochodzie zastosowanie napędu na koła przednie.

W ALFIE ROMEO 164 mogą być montowane 4 rodzaje silników:

— 4-cylindrowy, benzynowy (zi), z liniowym układem cylindrów, o pojemności 1948 cm sześc., o mocy 107 kW (148 KM) uzyskiwanej przy 5800 obr/min., z wtryskiem paliwa systemu jednopunktowego (Motronic),

— 6-cylindrowy, benzynowy (zi), z układem cylindrów „V", o pojemności 2934 cm sześc., o mocy 136 kW (185 KM), uzyskiwanej przy 5600 obr/min., z wtryskiem paliwa systemu jednopunktowego (Motronic),

— 4-cylindrowy, benzynowy (zi), z liniowym układem cylindrów, o pojemności 1995 cm sześc., o mocy 129 kW (175 KM) uzyskiwanej przy 5250 obr/min., z turbosprężarką i układem chłodzenia sprężonego powietrza (intercooler) oraz wielopunktowym wtryskiem paliwa (do każdego cylindra) systemu LE-2 Jetronic,

— 4-cylindrowy, wysokoprężny (zs), z liniowym układem cylindrów, o pojemności 2482 cm sześc. i mocy 84 kW (114 KM), uzyskiwanej przy 4200 obr/min., z turbosprężarką i układem chłodzenia sprężonego powietrza.

Wszystkie silniki umieszczane są w pozycji poprzecznej, a obroty od nich przenoszone za pośrednictwem 5-biegowych skrzyń przekładniowych, w których 5. bieg ma charakter nadbiegu. Z silnikiem V 6 może współpracować przekładnia automatyczna o czterech zakresach prędkości.

ALFA ROMEO 164 posiada wspomagany układ kierowniczy.

Na życzenie pojazd może być wyposażony w hydrauliczny system regulacji twardości resorowania kół tylnych, a także w system hamulcowy z zabezpieczeniem przeciw blokowaniu kół. Jednakże ten system przeciwblokujący jest bardziej uproszczony od ogólnie przyjętego typu ABS, a tym samym nie tak precyzyjny w działaniu i w związku z tym znacznie tańszy.

Nadwozie ALFY ROMEO 164 w rzucie z boku przypomina nieco kształty aktualnie produkowanych MERCEDESÓW. Podobnie też jak w MERCEDESIE z przodu tej ALFY znajduje się mocno wystylizowana, charakterystyczna dla tych włoskich samochodów, trójkątna ramka z zaokrąglonymi narożnikami, stanowiąca jeden z wlotów powietrza do chłodnicy silnika.

Kształty nadwozia dla tego samochodu zaprojektowała słynna włoska firma stylistyczna Pininfariny. Współczynnik oporu powietrza wynosi od 0,3 do 0,32 i zależny jest między innymi od szerokości zastosowanego ogumienia.

Prędkości maksymalne samochodu są różne w zależności od rodzaju zastosowanego silnika. ALFA z silnikiem o pojemności:
— 1948 cm sześc. osiąga prędkość 210 km/h,
— 1995 cm sześc. osiąga prędkość 220 km/h,
— 2934 cm sześc. osiąga prędkość 230 km/h,
— z silnikiem wysokoprężnym osiąga prędkość 200 km/h.

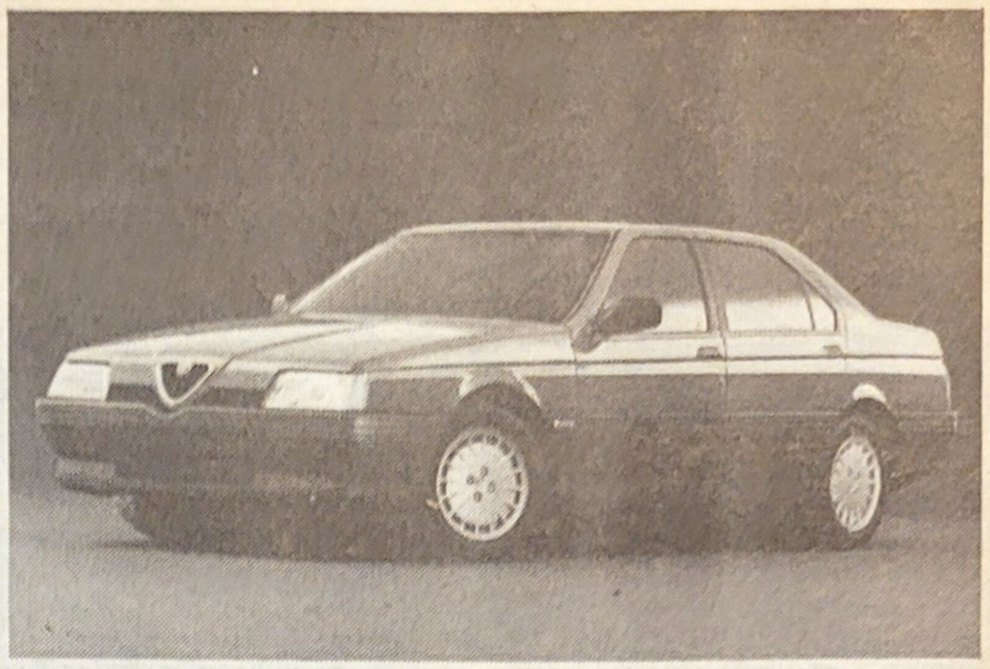

KĄCIK PRZYJACIÓŁ MOTORYZACJI

Robert WOJEWODA, ul. Bończyka 24/7, 45-705 OPOLE, poszukuje prospektów Mercedesa 190 i Daihatsu, które wymieni za prospekty samochodów ciężarowych firmy Berliet.

Marcin BIAŁCZYK, 66-419 WAWRÓW 88/26, poszukuje prospektów samochodów marki Volvo oraz ciągników siodłowych, za które oferuje prospekty BMW, furgonetki Mercedes oraz katalog z międzynarodowej wystawy samochodowej.

Adam CZOPEK, 24-310 KARCZMISKA 4, poszukuje prospektów samochodów następujących firm: Mitsubishi, Toyoty, Forda, Mercedesa i Fiata, za powyższe oferuje zdjęcia i plakaty zespołów muzycznych.

Paweł KOT, Kąkolewica Wsch. 19 A, 21-302 KĄKOLEWNICA, poszukuje prospektów samochodowych, za które oferuje książkę „Mexico 86" oraz czasopisma „Młody Technik" i „Mały Modelarz".

Sławomir NAPIERAŁA, ul. Woźna 14 a m. 6, 61-777 POZNAŃ, poszukuje prospektów Porscha 924 i Volkswagena Golfa, w zamian oferuje prospekty Renaulta i Fiata 127 oraz znaczki pocztowe.

Sławomir LICZBERSKI, ul. Kochanowskiego 12a/1, 40-035 KATOWICE, poszukuje katalogu samochodów świata począwszy od roku 1984, w zamian oferuje prospekty Porscha, Volkswagena, Audi i Jeepa.

ZENON DUTKIEWICZ

Zielono mi (155)

JAK PRZYCINAĆ KRZEWY OWOCOWE

Krzewy owocowe: porzeczki czarne, czerwone, białe, agrest, maliny i winorośl wymagają corocznego cięcia na wiosnę. Cięcie wykonujemy w marcu lub w kwietniu. Cięcie odmładza krzewy, pobudza je do wytwarzania nowych, młodych pędów, sprzyja regularnemu owocowaniu i wyrastaniu dorodnych owoców. Poprzez cięcie utrzymujemy krzewy w określonych rozmiarach i kształcie.

Jeśli sadziliśmy jakiekolwiek krzewy jesienią lub wiosną, to trzeba je koniecznie przyciąć nisko nad ziemią, aby się łatwo przyjęły i wypuściły nowe, silne pędy. Krzaczaste porzeczki, agrest i maliny przycinamy sekatorem w odległości kilku centymetrów od ziemi pozostawiając na pędach po 3-4 oczka (pąki). Z pozostawionych oczek wyrosną młode, silne pędy, które stopniowo utworzą koronę krzewu.

Formę pienną agrestu i porzeczek otrzymuje się w szkółkach przez szczepienie tych gatunków na wysokich sztywnych pędach **porzeczki złotej** (*Ribes aureum*). Krzewy te można kupić w szkółkach i sklepach ogrodniczych. Agrest i porzeczki pienne trzeba po posadzeniu przywiązać do palika sięgającego aż pod koronę. Pędy w koronie przycinamy po posadzeniu skracając je o 1/3 do 2/3 długości.

Młode dwu, trzy i czteroletnie krzewy porzeczek i agrestu nie wymagają wiele cięcia. Wiosną można wyciąć te pędy, które rosną poziomo i pokładają się na ziemi. Nie będzie z nich pożytku. Wszystkie mocniejsze pędy rosnące pionowo lub łukowato pozostawiamy.

Porzeczki czarne owocują najobficiej na pędach młodych, rocznych, dwuletnich i trzyletnich. Pędy starsze owocują słabiej i wydają drobne owoce. Kiedy krzewy porzeczek czarnych osiągną wiek 4-5 lat trzeba je stale odmładzać poprzez cięcie. Każdej wiosny wycinamy tuż nad ziemią po kilka najstarszych pędów. Pędy najstarsze mają liczne rozgałęzienia, są ciemnoszare i zwykle rosną one poziomo lub pokładają się na ziemi. W miejscu wycięcia pędów starych pojawią się nowe, silne przyrosty, które owocują już na drugi rok po wyrośnięciu.

Porzeczki czerwone i agrest nie wymagają takiego cięcia odmładzającego, ponieważ mają zdolność obfitego owocowania na pędach starszych, kilkuletnich. Krzewy te bywają jednak nadmiernie zagęszczone po kilku latach wzrostu, a więc trzeba je rozrzedzić. W tym celu wycinamy gałązki ze środka krzewu — splątane, pokładające się jedna na drugiej, leżące na ziemi, uszkodzone, chore lub martwe. Szczególnie trzeba utrzymywać luźno krzewy agrestu, aby kolczaste gałązki nie utrudniały zrywania owoców.

Zwróćmy uwagę na sposób owocowania malin. Tworzą one kwiaty i wiążą owoce na pędach jednorocznych. Po dojrzeniu owoców pędy te stopniowo żółkną i przed jesienią zamierają. W ciągu lata wyrastają z ziemi nowe pędy, które owocują w roku następnym.

Maliny mają wysokie, wiotkie pędy, które powinny być przywiązane do drutów. W rzędzie malin należy wbić paliki i przeciągnąć między nimi druty na wysokości 0,8 m i 1,5 m od ziemi. Do drutów przywiązujemy wszystkie silniejsze pędy roczne prowadząc je pionowo do góry. Pędy słabe, chore, krzywe oraz pędy wyrastające w dużej odległości od krzewu należy wyciąć. Odstępy między pędami wzdłuż drutu powinny wynosić 6-8 cm. Po przywiązaniu pędów można im przyciąć wierzchołki w pewnej odległości, ponad najwyższym drutem. Przywiązane pędy utrzymujemy przy drutach aż do końca zbioru owoców. Po zebraniu owoców, to znaczy w sierpniu, lub najpóźniej we wrześniu, trzeba wyciąć przy ziemi wszystkie te pędy, z których zrywaliśmy owoce.

Przy drutach prowadzimy również jeżyny bezkolcowe. Owoconośne pędy rozpinamy w formie wachlarza i skracamy nad górnym drutem. Pędy tegoroczne prowadzimy pionowo (patrz. rys.)

Ze wszystkich krzewów owocowych najbardziej egzotyczną rośliną jest niewątpliwie winorośl. Warto pamiętać, że winorośl jest silnie rosnącym pnączem, który nie kontrolowany może dorosnąć nawet do... kilkuset metrów. Winorośl wytwarza kwiaty i owocuje tylko na pędach jednorocznych, zwanych łozą. W miarę rozrastania się krzewu wartościowa łoza znajduje się coraz dalej od miejsca, gdzie krzew został posadzony.

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

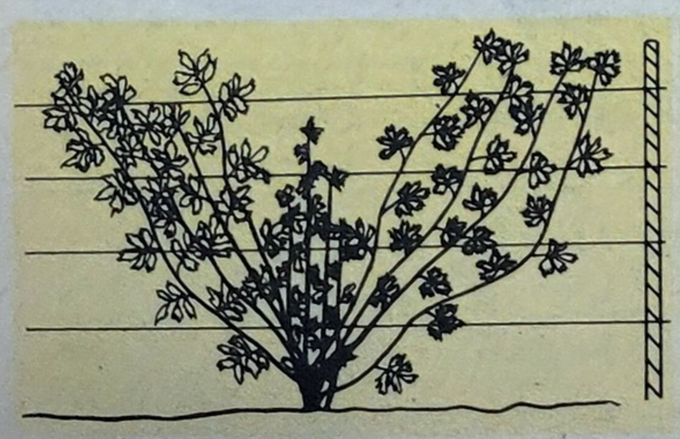

Tak można rozpiąć winorośl; a — pieniek, b — pęd wieloletni, c — pęd roczny zwany łozą

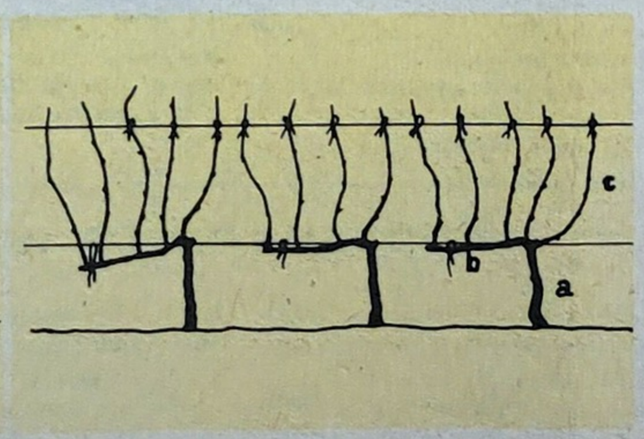

Sposób rozpinania jeżyn na drutach

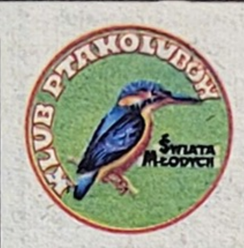

Śmieszki żegnają zimę • Dzięcioł zielonosiwy wędruje po ścianach • Srokosz — pogromca myszy • Gdzie kruki są białe?

Zimę pożegnamy w klubie wzmianką o **śmieszkach**. Niejeden pewnie w tym miejscu przetrze oczy ze zdumienia. Przecież śmieszka — to u nas pospolity ptak lęgowy, dlaczego go więc kojarzyć z zimą i jej pożegnaniem, a nie z pełnią wiosny? Ano dlatego, że właśnie u schyłku zimy mamy z tymi mewami najczęściej do czynienia. Osobniki zimujące w miastach i osiedlach zbierają się do odlotu (lub przynajmniej wywędrowują poza miasto na pobliskie tereny lęgowe). Osobniki z dalekich stron intensywnie przelatują. W sumie — mamy prawdziwą, pożegnalną „zamieć" mewich skrzydeł. Przy tym — ptaki chętnie korzystają z naszego poczęstunku...

Paweł Goljanek z Kołobrzegu, członek tamtejszego klubu o przedwiosennej nazwie „Czajka" (bliżej o klubie — niebawem!), tak pisze o tych białopiórych stołownikach: *„Karmę dla nich wykładam zawsze o tej samej porze, tzn. o godz. 17.00, zawsze w tym samym miejscu. Gdy zbliża się czas posiłku, wychodzę na balkon, wyciągam rękę i mewy zaczynają się zlatywać. Mogę je obserwować oparty o szklane, balkonowe drzwi. Nie uciekają. Przyzwyczaiły się".* Tak! Jeszcze pół wieku temu nie sądzono, że śmieszki staną się pospolitymi, lądowymi stołownikami, obok wróbli czy sikor.

W dalszym ciągu listu Paweł pisze: *„Czas wracać do wiosny".* Więc wracajmy. Otrzymaliśmy, zgodnie z treścią naszych zadań, sporo wiadomości o datach przylotów i przelotów ptasich. Nie wyłania się z nich, jak dotąd, jednolity obraz wiosennej wędrówki ptaków na przedwiośniu 88. Czekamy więc na kolejne wiadomości. Tymczasem — nieco o innych stronach ptasiego życia o tej porze roku, kiedy to, jak w pewnym przysłowiu, widujemy jeszcze „trochę zimy, trochę lata". Jednym z pierwszych sygnałów wiosny jest np. osobliwy „śmiech" **dzięcioła zielonego** czy podobny nieco, ale bardziej melancholijny i opadający w tonie zew jego rzadszego krewniaka — **dzięcioła zielonosiwego**. O tym ostatnim dzięciole mamy taką oto relację **Zbigniewa Barańskiego z Zahoczewia w woj. krośnieńskim:** *„13 marca rano, o godz. 6.30 widziałem na ścianie domu tynkowanego dzięcioła zielonosiwego, który zręcznie się wspinał po tej ścianie, a następnie siadł na ramie okiennej i zaczął szukać w szparach jakiegoś pożywienia, bo zaglądał dziobem do każdej szpary, a nawet zaczął kuć tę ramę, lecz widząc, że twarda, odleciał. Po raz drugi zobaczyłem go blisko mojego domu ok. godz. 11.30. Siedział w karmniku i jadł sobie tłuszcz z puszki. Po chwili do tego karmnika przyleciała bogatka i chyba go spłoszyła, bo on siadł wtedy na pobliską jabłoń, z której po chwili odleciał do sadu".*

Mimo wszystko — choć z zasady daję wiarę korespondentom — mam tu wątpliwość, czy aby opisany tu dzięcioł nie był jednak pospolitym dzięciołem zielonym? On to wszakże znany jest z wypadów do ogrodów, a nawet gniazdowania na ich terenie, podczas gdy dzięcioła zielonosiwego zaliczamy raczej do puszczańskich „odludków". Może więc nasz stały korespondent przy najbliższej okazji skrobnie jeszcze ze dwa zdania o tym, jak ptak wyglądał i skąd takie, a nie inne określenie gatunku. Tymczasem — wracamy do tego samego listu...

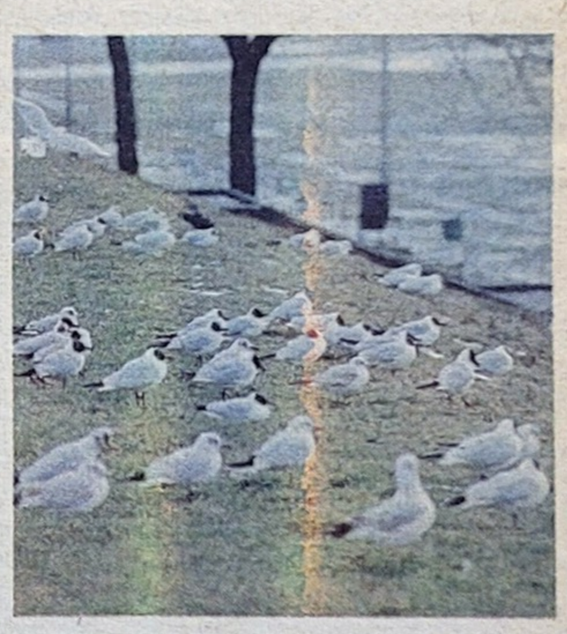

„13 marca widziałem srokosza, który siedział na krzewach tarniny i wypatrywał jakiejś zdobyczy w trawie. Po chwili zobaczyłem, jak srokosz nagle zleciał w trawę i zaczął coś łapać i dziobać. Była to mysz, którą upolował. Chwycił tę mysz w dziób i chciał z nią odlecieć, lecz była chyba za duża, bo mu wypadła z dzioba!" Tak to bywa często u wszelkich skrzydlatych drapieżców: łatwiej przychodzi im polowanie, niż transport...

Na koniec — chwila faunistyki. Chodzi o ptaka również kojarzonego z wczesną wiosną, bo należy do gnieżdżących się u nas najczęściej: o **kruka. Waldemar Michalak z Górki Duchownej w woj. leszczyńskim** widział te ptaki i zdziwił się. Wszakże w książce Jerzego Gotzmana „Z lornetką wśród ptaków" wyczytał, że ptak ten „nie występuje jedynie w dzielnicach południowo-zachodnich, a najliczniejszy jest na północnym wschodzie". Cóż, żyjemy w kraju, gdzie tempo zmian w przyrodzie jest szybsze niż tempo druku książek o tejże przyrodzie. Nim doskonały skądinąd przewodnik Gotzmana ujrzał światło dzienne, sytuacja kruków zdążyła się nieco zmienić. Na północnym wschodzie kraju rzeczywiście są wciąż najpospolitsze — ale wiele par pojawiło się i w innych dzielnicach kraju, m.in. na skutek przegęszczenia populacji północno-wschodnich. Zatem — kruki zdarzają się, i to coraz częściej — także na zachód od Wisły, będąc tu jednak wciąż ornitologicznymi... „białymi krukami"...

TOMASZ KŁOSOWSKI
Fot. **autora**

JAK PRZYCINAĆ KRZEWY OWOCOWE

DOKOŃCZENIE ZE STR. 6

Często znajdujemy owoconośną łozę na dachu budynku, jeśli krzew rośnie przy ścianie budynku lub u sąsiada, jeśli krzew posadziliśmy przy płocie.

Pielęgnowany krzew winorośli składa się zazwyczaj z pnia, ramion, krótkopędów i łozy (patrz rys.) Najważniejszą częścią krzewu jest odpowiednio przycięta i rozpięta na podporach łoza. Łoza ma grubość ołówka i jest barwy brązowej, podczas gdy starsze pędy są grubsze i mają barwę szarą. Podporami dla łozy mogą być: krata z listew drewnianych, poziome druty rozpięte między palikami, ściana budynku lub altanki z odpowiednimi zaczepami, siatka ogrodzeniowa itp. Jeśli mamy przed sobą zaniedbany krzew winorośli, musimy najpierw wybrać kilka starszych rozgałęzień, które utworzą pieniek i ramiona. Ilość i długość ramion zależy od wielkości powierzchni, jaką pod krzew możemy przeznaczyć. Po wybraniu ramion pozostałe części krzewu usuwamy zostawiając na ramionach pędy roczne, czyli łozę. Łozę trzeba następnie mocno przerzedzić i skrócić. Łoza może być rozpinana poziomo, skośnie lub pionowo, lecz nie gęściej jak co pół metra jedna od drugiej. Rozpiętą łozę skracamy ponad 8-10 pąkiem licząc od nasady. Łozę zbędną wycinamy blisko nasady pozostawiając jednak 1-2 pąki. Te krótkie odcinki łozy to krótkopędy, z których latem wyrośnie nowa łoza.

AUGUSTYN MIKA
Rys. **autora**

ZIELONA POCZTA

Znowu porcja listów z rozpaczliwym wołaniem. „Ratujcie, bo moje ukochane rośliny giną." Taki list dostałem między innymi od Kasi Kozieradzkiej z Kielc. Przyczyną zamierania i odpadania liści u roślin cytrusowych, u palm, bluszczy i innych roślin trwałych są drobne szkodniki ledwo widoczne gołym okiem: tarczniki, misecznik, szpeciele i przędziorki. Szkodniki te można dostrzec pod lupą, zaś gołym okiem widać objawy żerowania: marniejące liście, pajęczynka, lepka wydzielina kapiąca z liści, białe, maleńkie kuleczki. Jeśli zaobserwujemy takie objawy trzeba liście dokładnie zmyć gąbką moczoną obficie wodą z dodatkiem płynu do mycia naczyń. Zabieg powtórzyć po tygodniu i później raz jeszcze.

(am)

Teresa Bojarska

CHAMPION

XXVI Pomorska Wystawa Psów Rasowych w Bydgoszczy. Na stadionie „Brda" tłumy. Zdenerwowani właściciele pracowicie czesali, głaskali, pryskali lakierem czarnych, łaciatych, kremowych ulubieńców. Ze źle tajonym lękiem popatrywali na konkurentów do medali, na sędziów, na zegarki. Sprzedawcy psiej galanterii uwijali się przy swoich stoiskach, fotoamatorzy pstrykali psie piękności...

Podczas oceny seterów irlandzkich tuż przy taśmach ringu, na którym prezentowały się psy, uwijał się dwunastoletni chłopiec ze swoim seterem. Pies był dorodnym starcem o posiwiałym pysku i uszach, ale jego ruchy zachowały elegancję, zaś dumnie uniesiony łeb wyrażał pełnię poczucia godności. Właściciel wydawał mu polecenia takie same jak te, których wykonanie obowiązywało prezentujące się psy. Była więc pokazowa „stójka", marsz, bieg, siad. Kiedy ring opustoszał i przerzedły tłumy zwiedzające wystawę, dziwna para przeniosła się na środek olbrzymiego stadionu. „Aport", „waruj", „czekaj", „wróć" — polecał chłopiec, zaś pies wykonywał rozkazy dokładnie i bezbłędnie. Czas płynął, przy ringach pozostali jedynie ci, którzy mieli walczyć o tytuł zwycięzcy Wystawy. Była godzina 15.30.

Czyżby sędziwy pies także czekał na jakieś wyróżnienie? Może choćby w klasie honorowej?

Nie! Kares ukończył już trzynaście lat. Medal honorowy otrzymał już dwa lata temu. Nie ma więc prawa ubiegać się o cokolwiek.

Dlaczego więc trwają tu obaj, zapewne głodni i zmęczeni? Chłopiec nie miał kiedy przyjrzeć się pokazom, cały czas zajęty swoim Karesem. Znudzony ojciec poszedł już do domu, koledzy szkolni również opuścili stadion. A więc dlaczego? Po co?

Poplynęła opowieść, błysnęło złoto medali wyjętych z kieszeni. Kares jest starszy od swojego pana. Rośli razem i przed laty na ringach różnych wystaw zbierali laury. Kares był championem wystaw krajowych i międzynarodowych, wygrywał w Pradze, w Berlinie, w Dreźnie. A oto ostatni medal uzyskany w klasie honorowej w 1985 roku. W tej konkurencji wolno stanąć tylko raz. Teraz czekają na wybór zwycięzcy w klasie seterów, na wybór championa dzisiejszej imprezy. — Po co?

Byłoby mu przykro gdyby nie chodził i nie biegał pod okiem sędziów. On lubi walczyć i wygrywać. Nie zdaje sobie sprawy, że jesteśmy poza ringiem. Ma słaby wzrok. W słoneczne dni nic nie widzi, szczęściem dzisiaj jest pochmurno. Starałem się prowadzić go tuż przy linkach. On sądzi, że bierze udział w konkurencji i czeka na championat. Przywykł do zwycięstw.

Mówię, że pies nie wiedział o odbywającej się Wystawie, że mógł spokojnie zostać w domu. Chłopiec patrzy na mnie z widocznym wyrzutem — pies czuje głębiej niż się pozornie wydaje. Kares na pewno wiedział o Wystawie. Czekał na nią. Gdyby tu nie przyszedł, byłby niepocieszony. Mógłby odchorować taki zawód, czułby się zdradzony. Chłopiec głaszcze wyszczotkowaną sierść. Kares unosi szlachetny łeb, patrzy oczami zaszłymi bielmem czujnie, z uwagą. Macha wypielęgnowanym ogonem.

I wtedy pada prośba: czy mogłabym powiedzieć głośno, że zwycięzcą jest Kares i przywiązać mu do czerwonej obroży medal? On nie pozna, że jest to jeden z tych, które niegdyś otrzymał. Dlatego właśnie czekali obaj tak długo, aby ktoś zainteresował się i pomógł dokonać dekoracji. Zresztą, on przecież jest i tak najpiękniejszy, wszyscy widzieli, że doskonale wyszkolony, wszystko potrafi. Każdy musi się zestarzeć, pies także.

Rodzice chcieli kupić nowego, młodego setera, ale jemu byłoby przykro mógłby podejrzewać, że...

Podał mi kręgłą blaszkę przywiązaną do złotej, wypranej i wyprasowanej wstążeczki. Staliśmy na środku olbrzymiego stadionu. Daleko, na poboczu odbywały się dekoracje championów, głos spikera huczał nad stadionem. Skandowałam wyraźnie tak, aby Kares zrozumiał, aby obaj przyjaciele odeszli szczęśliwi.

— Ogłaszam zwycięzcą Dwudziestej Szóstej Pomorskiej Wystawy psa Karesa, rasy seter irlandzki. — Podałam właścicielowi rękę, wręczyłam medal, poklepałam odznaczonego. Pies zamarł w idealnej „stójce", przednie łapy wyprostowane jak struna, lewa tylna nieco wysunięta ku przodowi. Chłopiec przyklęknął, przywiązał wstążeczkę z medalem do ozdobnej obroży, ucałował posypany srebrem wieku łeb.

— *No widzisz, widzisz, jaki jesteś wspaniały, najwspanialszy. Cieszysz się, prawda?*

— Teraz możecie już wracać na obiad. Jesteście zmęczeni — szepnęłam przez zaciśnięte gardło. — Chciałabym wiedzieć jak się nazywasz?

Chłopiec uśmiechnął się, podniósł ku mnie rozjaśnione oczy.

— *To nieważne. Liczy się Kares!* — zawołał i odbiegli razem w podskokach. Pies ciągnął swego pana, nie bacząc już na obowiązujące przepisy.

Rys. **Magdalena Piotrowska**

RZEP PRZEPRASZA, ALE...

to wiosna dała mu się we znaki (czego skądinąd i Wam życzy)

— Słuchaj — zwróciłem się do znowu milczącego Metysa — czy dobrze znasz okolicę?

— I znam, i nie znam — odparł. — Las jest ogromny i nikt nie przemierzył go od krańca po kraniec. O jaką okolicę ci chodzi?

— O strumień, który wypływa z jeziorka znajdującego się przy leśniczówce — powiedziałem i natychmiast pożałowałem tych słów, bo Metys bezbłędnie odgadł:

— Mieszkasz w leśniczówce?

Nie potwierdziłem i nie zaprzeczyłem. Odparłem tylko:

— Gdybym wiedział, jaka droga prowadzi do strumienia, mógłbym trafić do domu, w którym mieszkam.

— Nawet mimo tej mgły?

— Nawet mimo tej mgły. Przecież wystarczy, bym poszedł brzegiem rzeczki, a już ona doprowadzi mnie do celu.

— Jesteś pewien?

— Całkowicie.

— No to, jeśli sobie życzysz, poprowadzę cię do strumienia.

Mało nie podskoczyłem z radości.

— A trafisz?

— Nawet z zamkniętymi oczami — oświadczył chełpliwie.

— Jeśli tak, zapraszam cię do mojej obecnej siedziby. Przeczekasz w niej mgłę.

Dlaczego zaprosiłem człowieka, który przecież niezbyt mi się podobał? Po prostu odezwał się we mnie nawyk przyswojony przez wiele lat wędrówek u boku Karola. Samotni i zagubieni na bezdrożach pierwotnej głuszy ludzie powinni sobie pomagać. Tak brzmi niejako pierwsze przykazanie traperów, przebiegaczy lasów, tropicieli i poszukiwaczy skarbów ziemi. Dziś ja tobie, jutro ty mnie! I nie było sprawą najważniejszą, czy napotkany wędrowiec komuś się podobał czy nie.

— Dziękuję za zaproszenie. Jednakże pilne sprawy do załatwienia nie pozwalają mi z niego skorzystać. Idziemy?

— Idziemy.

Ruszył pierwszy, a ja krok w krok za nim. Posuwał się zdumiewająco szybko, jakby nie istniała mgła, jakby nie istniały tamujące przejście krzaki i drzewa. Tak szybki marsz wymagał ode mnie sporego wysiłku. Bałem się, że nie nadążę za swym przewodnikiem, że zostawi mnie w lesie, zagubionego i bezradnego. Taka obawa była niczym nie uzasadniona — przecież nie po to zgodził się doprowadzić do rzeczki, by mnie zgubić. Mógł po prostu opuścić mnie nad Czarnym Okiem. Ale ten argument nie przyszedł mi wówczas do głowy. Byłem zbyt zdenerwowany sytuacją, w jakiej się znalazłem.

Droga stała się dla mnie koszmarem. Co parę kroków wpadałem na niskie zarośla, dwukrotnie zaczepiłem butem o płożące się po ziemi rośliny i niewiele brakowało, a byłbym upadł. Twarz i ręce miałem wilgotne od skraplającej się mgły, a plecy mokre od potu.

Jak długo trwał ten marsz — nie potrafię określić. W najgorszym dla mnie momencie, gdy dysząc ze zmęczenia chciałem powiedzieć Metysowi, by zezwolił na chwilę odpoczynku, mój przewodnik zatrzymał się. Dwoma krokami podszedłem do niego. Czyżby przeczuł moje życzenie? Lecz on powiedział półgłosem:

— Jesteśmy nad strumieniem. Pójdziesz w lewo. Pilnuj się brzegu, on cię doprowadzi do jeziorka.

Wytrzeszczyłem oczy, by wzrokiem przebić biały tuman wiszący przede mną. Gdzież, u licha, ten brzeg?

Dostrzegł moje wahanie, ujął mnie za rękę i poprowadził. Zaledwie pięć kroków! Tak, pięć kroków. Taka odległość całkowicie wystarczała, aby tumany mgieł mogły bez reszty zlikwidować jakąkolwiek widoczność.

Dopiero o krok od brzegu dostrzegłem połyskujący nurt płynącej wody. W jaki sposób dostrzegł ją wcześniej mój przewodnik?

— Idź samym brzegiem, inaczej zabłądzisz, a ja już nie będę mógł ci pomóc. Uważaj, przybyszu z miasta, na drugi raz nie wybieraj się na polowanie, gdy mgła poczyna parować z ziemi.

— Nie pójdziesz ze mną?

— Nie. Bywaj!

Odwrócił się i w ciągu paru sekund zniknął mi z oczu jakby zapadł się w ziemię.

Zostałem sam. Pomyślałem wówczas, że ten Metys najprawdopodobniej musiał mnie uznać za stuprocentowego greenhorna!

Cdn.

MONSTRUM

TEKST I RYSUNKI
TADEUSZ RACZKIEWICZ

5

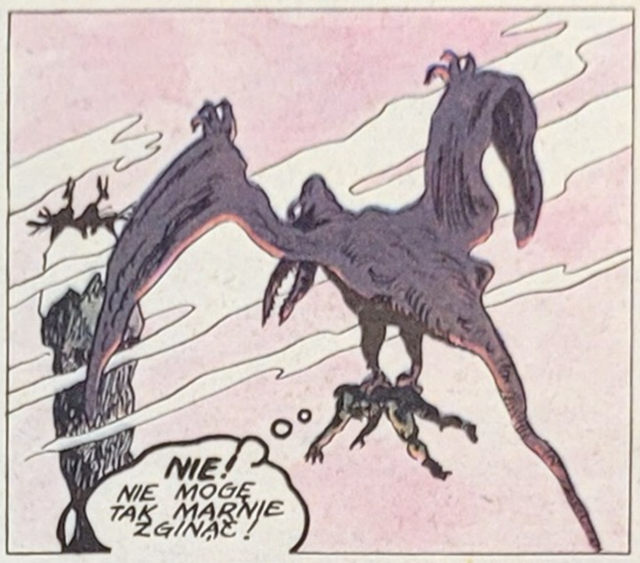

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 47 (4442)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-3214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. TELEX 81-36-58.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).
REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42; **Sekretarz redakcji** Wojciech Wróblewski, z-cy sekr. red. Grażyna Szroeder-Bukowska i Lidia Wojciewska tel. 28-25-48; **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 28-77-21), Maria Jaworska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Jan Orgelbrand (dz. krajowy tel. 28-56-18), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13). **Fotoreporterzy** tel. 21-98-28.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49, wewn. 403. Cena ogłoszeń 450 zł za 1 cm², 200 zł za jedno słowo w ogłoszeniach drobnych.
Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa nr 1153-201478-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne: Grażyna Klechniowska
Opracowanie techniczne: Grażyna Pajorkowska
Korekta: Maria Marasek
Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego"
Zam. 1403/G/88. U-20. Nakład 439 000 egz.

UŚMIECH NUMERU

DO KOMISARIATU doprowadzono podejrzanego typa, u którego znaleziono pierścień wielkiej wartości.

— Ja go nie ukradłem! — zaklina się ów osobnik. — Ja go znalazłem na ulicy i wziąłem sobie, bo na wewnętrznej stronie pierścienia wygrawerowany jest napis „Na całe życie Twój!"...

★

W STRAŻY pożarnej dzwoni telefon:

— Mówi Iksińska! Panowie, mój mąż właśnie wypróbowywał, jak się piecze mięso w naszym nowym elektrycznym opiekaczu i...

— Bardzo dziękujemy, ale już jesteśmy po obiedzie!

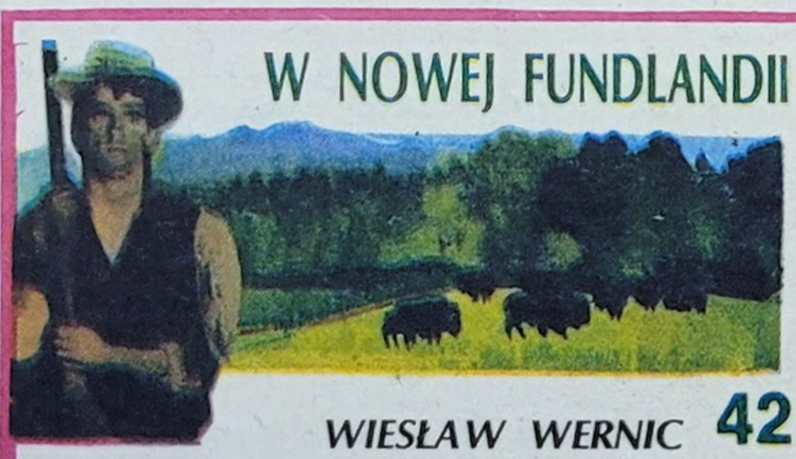

W NOWEJ FUNDLANDII

WIESŁAW WERNIC **42**

Jednakże przez sześćdziesiąt cztery lata, jakie upłynęły od zgonu ostatniego Indianina (kobiety, która zmarła w St. John's, stolicy Nowej Fundlandii), niedobitki zniszczonego plemienia nie mogły się aż tak rozmnożyć, by odbudować nowe społeczeństwo, które zamierzałoby powrócić na ziemię przodków. Jakże sobie to wyobrażał ten siedzący obok mnie człowiek? Przecież na całej ziemi amerykańskiej (poza Alaską i kanadyjską Północą) plemiona indiańskie zamieszkiwały już tylko tereny rezerwatowe, a w Nowej Fundlandii rezerwaty nie istniały, jako że nie istnieli tu Indianie. Jak on to sobie wyobraża? — zapytywałem sam siebie, lecz głośno swej myśli nie wyraziłem. Do licha! Czy ten Metys nie był przypadkiem niebezpiecznym wariatem? Bezkarnie grasującym po puszczy? Może to on napadł na Maksa?

Poniosła mnie fantazja, za co sam siebie zganiłem. Mój gość milczał i wpatrywał się w ogień, jakby w nim właśnie widział obraz wymarzonej przyszłości. Ech, jakże chętnie znalazłbym się znowu w leśniczówce, lub chociażby nad brzegiem rzeczki, by doprowadziła mnie do przyjaciół. Gdzież oni się teraz znajdują? Czy zbłądzili podobnie jak ja, czy też zdołali odszukać drogę powrotną?

Przybysz przestał mi się podobać. Nadal milczał. Milczałem i ja rozmyślając nad sposobem pozbycia się go. Mogłem przecież wstać, pożegnać się i ruszyć... Właśnie! Dokąd? Gdzie znajdowała się rzeczka? Na prawo, na lewo ode mnie? A może za moimi plecami?

Mgła nadal kłębiła się między pniami drzew, więc dokąd miałbym się kierować? Tu miałem szałas do spania, tu było ognisko chroniące przed chłodem, tu był zapas paliwa i woda w zasięgu ręki.

— To ty zbudowałeś szałas? — zagadnąłem, by przerwać denerwujące mnie milczenie.

Dokoła panowała cisza tak doskonała, jakby zamarł cały świat, jakby puszczę opuściły wszystkie ptaki, wszystkie czworonogi. Cisza i welony mgieł — jakże to przygnębiało!

— Pytałeś, czy to ja zbudowałem szałas? — ocknął się z zadumy.

— Pytałem.

— Nie, nie ja. Chociaż nie pierwszy raz tutaj jestem. Nigdy nie spotkałem człowieka, który w tym szałasie mieszkał. To pewnie jakiś traper wzniósł go poczas ostatniej zimy.

— Skąd wiesz, że ostatniej?

— Bo kiedy byłem tu jesienią, jeszcze nie istniał.

„Aha — pomyślałem — więc mój przypadkowy towarzysz już przed przeszło rokiem bawił w tych stronach. Co go skłoniło dzisiaj do odwiedzenia Czarnego Oka? Chyba tylko polowanie, na pewno był traperem."

Dziwny jednak to traper wieszczący przypadkowemu wędrowcy powrót na tę ziemię jej pierwotnych mieszkańców. I znowu zaatakowała mnie natrętna myśl: czy to przypadkiem nie wariat? lub człowiek nieco zbzikowany? Wśród traperów, pół swego życia spędzających na odludziu, wszystko jest możliwe. Nie brak wśród nich fantastów i pomyleńców, u których samotność zatarła w umysłach granicę między rzeczywistością a bajką zrodzoną z ich własnych pragnień. Takim mógł być mój gość, mimo młodego wieku.

Zerknąłem na zegarek. Sześć godzin minęło odkąd opuściłem progi leśniczówki. Przez ten czas diabelska mgła ani trochę nie zrzedła! Czyż przyjdzie mi tutaj nocować? I to w towarzystwie tak dziwnego osobnika?

Ach, gdybym wiedział, w której stronie świata znajduje się rzeczka wypływająca z jeziorka! Zdecydowałem się zapytać.

Dokończenie na str. 7